

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. **Kraków, 18 kwietnia 1908.** **Nr. 16.**

Zamordowanie Namiestnika we Lwowie.



Numer zawiera między innemi: **Pogrzeb zamordowanego Namiestnika.**
(Zdjęcia ze Lwowa i z Krzeszowic).

Zamordowanie Namiestnika we Lwowie.

Wiele ciężkich chwil przeżyliśmy w ostatnich latach. Widzieliśmy wstrząsające tragedye i dramaty, patrzyliśmy na szereg okrutnych mordów, na szereg strasznych zbrodni— tak iż zdawało się, że już i największa potworność nie jest w stanie głębszego wywrzeć wrażenia na przywykłe do strasznych przejść umysły.



Ś p. Andrzej hr. Potocki.

A przecież nawet w tych smutnych czasach nie byliśmy świadkami takiej ohydy, tak wstrząsającej swą grozą, tak przerażającej dzikością zbrodni, jak potworny mord w ubiegłą niedzielę w lwowskim pałacu namiestnikowskim.

Na myśl o tem serce się ściska z bolu i żalu bezmiernego, a dusza wzdryga wstrętem i oburzeniem ku zwyrodniałemu mordercy, który rękę swą splamił krwią niewinną.

Niech ta ręka przeklętą będzie!

I niech nikt tu nie mówi o bohaterstwie, niech nikt nie powtarza tanich frazesów o poświęceniu się dla idei, dla ciemiężonego narodu. Bo to był pospolity zbrodniarz, co chciał być „najważniejszą osobą", co z piersi matki wyssał z mlekiem dziką nienawiść do polskości, co wyrósł w tradycyach Gontów i Żeleźniaków, a pewny był „teoretycznego uznania" całej swej partyi.

Za jakież krzywdy chciał się on pomścić? Czy za to, że naród ruski jest benjaminkiem rządu, że ruscy urzędnicy są forytowani na wszelkich polach, że darzy się ich najlepszemi posadami, choćby tu w Krakowie? Czy to było „krzywdą" w oczach sfanatyzowanego rozbójnika, że sprawcy haniebnego gwałtu w murach polskiej wszechnicy, a on sam między nimi, uszli prawie bezkarnie, że dla dogodzenia hajdamackim zapędom pogwałcono przepisy procedury i najzwyklejszych rzezimieszków wypuszczono pod presyą z aresztu śledczego, by mogli urągać polskiemu miastu, polskiemu społeczeństwu i polskiemu sądownictwu? Czy „krzywdą" taką jest wzrastająca z każdym rokiem ilość szkół ruskich, coraz nowe gimnazya ruskie, nowe ruskie katedry na polskim uniwersytecie? — Dość chyba tych legend o upośledzeniu i pokrzywdzeniu ruskiego narodu, równie kłamliwych jak bezwstydnych! Strzały, których echo rozległo się w murach namiestnictwa we Lwowie, to dalszy ciąg polityki gwałtów, zainicyowanej przez zwyrodniałą pajdokracyę ukraińską na uniwersytecie lwowskim, a tak planowo i konsekwentnie prowadzonej przez prowodyrów ukraińskich i wybrańców ludu w parlamencie wiedeńskim. To waryant zamachu, dokonanego przez posła Baczyńskiego na prezydenta Izby poselskiej przez rzucenie deski, to wprowadzenie w czyn haseł Budzynowskich i Petryckich, wołających: „Za San z Lachami" i grożących wywieszaniem wrażego narodu.

Więc ofiarą bandytyzmu politycznego padł ś.p. Andrzej hr. Potocki. Legł na stanowisku mąż nieprzeciętnej miary, obywatel wybitny nietylko stanowiskiem naczelnem w kraju, ale energią osobistą, wytrwałością w pracy, bystrością umysłu, wiedzą szeroką, wielkością i podniosłością uczuć.



Namiestnik Andrzej hr. Potocki na łożu śmierci w sali audyencyonalnej namiestnictwa.

Ś. p. Andrzej hr. Potocki, potomek starej a zasłużonej rodziny magnackiej, był postacią ze wszech miar imponującą, był chlubą i dumą społeczeństwa, które go wydało. Wiekiem młody, bogaty doświadczeniem, wytrwały i konsekwentny, w postępowaniu rozważny, otoczony powszechną czcią i zaufaniem, padł od kuli mordercy, w chwili wykonywania obowiązków zaszczytnego urzędu.

Urodzony w r. 1861 w Krzeszowicach z Adama i Katarzyny hr. Potockich, ukończył gimnazyum w Krakowie, a następnie studya prawnicze na wszechnicy Jagiellońskiej ze stopniem doktora praw, przyznanym mu „sub auspiciis imperatoris". Poświęcił się początkowo służbie dyplomatycznej i bawił przez jakiś czas w Madrycie, Paryżu i Londynie. Po śmierci starszego brata ś. p. Artura otrzymał w spadku dobra krzeszowickie, powrócił tedy do kraju i objął zarząd olbrzymiego majątku. Od tego czasu poświęcił się też życiu publicznemu, rozpoczynając je w szeregach radców miejskich Krakowa. Wybitne zdolności i gorąca chęć służby dla kraju, powołały go na szersze pole. Od 1890 do 1896 był posłem do Rady państwa, a równocześnie niemal został po raz pierwszy wybrany posłem na sejm krajowy. Jako generalny sprawozdawca budżetu krajowego przez szereg lat, dał dowody głębokiej znajomości finansów kraju i jego potrzeb. Już w 1901 r. powołany został na marszałka krajowego, a po dwu latach, dnia 18 czerwca 1903, na stanowisko namiestnika.

Nie podobna już dziś, zwłaszcza pod bezpośrednim wrażeniem przerażającej wieści o tragicznym zgonie hr. Potockiego, kreślić szczegółową charakterystykę jego rządów. Ale stwierdzić można i stwierdzić należy, że mąż ten, obdarzony niepospolitemi zdolnościami, dokładał wszelkich starań, aby odpowiedzieć godnie zadaniu, które na barki jego włożono, aby spełnić ważną misyę, do której czuł się powołanym. Małomówny z natury i jakby posępny, dążył z żelazną wytrwałością i wzorową pracowitością do wytkniętego celu. A celem tym było jedynie dobro kraju, pieczy jego poruczonego. Konserwatysta z urodzenia i tradycyi, konserwatysta z przekonań, nie był jednak nigdy reakcyonistą. Miał zaś dość sposobności do zadokumentowania tego, bo właśnie na czas jego rządów przypadły ważne przeobrażenia polityczne w państwie i kraju. Ś. p. Andrzej Potocki okazał wiele dla nowych dążności zrozumienia. W czasie walki o zmianę ordynacyi wyborczej do rady państwa i o oparcie jej na zasadach powszechności i równości, kiedy przekonał się, iż sprzeciwianie się powszechnemu prądowi nie prowadziłoby do celu, odegrał decydującą rolę w pertraktacyach między rządem a Kołem polskiem i umiał wpływem osobistym przekonać swoje stronnictwo o bezskuteczności dalszego oporu, a sam w Izbie panów za wprowadzeniem powsze-

chnych wyborów głosował. Tak samo decydującą i wybitną rolę odegrał ś. p. Potocki w doniosłym historycznie, a tak jeszcze świeżym fakcie zjednoczenia polskiej reprezentacyi w Wiedniu i wstąpienia posłów stronnictwa ludowego do koła polskiego.

A wobec Rusinów? Wszak niedawno jeszcze podnosiły się wśród społeczeństwa polskiego głosy, że namiestnik jest za miękkim i za ustępliwym w stosunku z Rusinami, że w zwalczaniu hydry ukraińskiej, głoszącej jawnie i publicznie zbrodnicze zamiary, nie okazuje właściwej sobie energii i że przez swą łagodną politykę ośmielił i rozzuchwalił szowinistów hajdamackich. A faktem jest, że ostatnie lata przyniosły Rusinom cały szereg doniosłych przywilejów. Wbrew woli namiestnika stać się to nie mogło, tylko za jego poparciem i przyczynieniem się. A jednak ostrze nienawiści bezgranicznej prowodyrów ukraińskich ku polskiemu narodowi, zwracało się przedewszystkiem przeciw śp. Andrzejowi Potockiemu.



Krystyna z hr. Tyszkiewiczów Potocka, wdowa po zamordowanym.

Więc też cios, wymierzony w pierś tego wzorowego urzędnika-obywatela, ugodził i w najżywsze uczucia narodu polskiego, w żywotne sprawy naszego kraju i społeczeństwa.

Ale najciężej dotkniętą została przedwczesną śmiercią śp. Andrzeja Potockiego jego najbliższa rodzina, zacna i ukochana przezeń małżonka, Krystyna z hr. Tyszkiewiczów Potocka i dziewięcioro nieletnich dziatek, jakiemi związek ich pobłogosławionym został. Ku nim, tym najbliższym i najbardziej umiłowanym, zwracały się ostatnie myśli dogorywającego dygnitarza. Słabnącym już, z trudnością dobywanym głosem wydawał rozporządzenia ostatniej woli i błogosławił drżącą, skrwawioną ręką otaczające śmiertelne jego łoże dzieci. Opiekę nad niemi złożył w ręce hr. Ksawerego Branickiego i hr. Zdzisława Tarnowskiego.

Cześć pamięci wielkiego obywatela!

* * *



Przedpokój i kancelarya, przytykająca do sali audyencyonalnej, w gmachu namiestnictwa lwowskiego.

Straszny wypadek zamordowania namiestnika hr. Potockiego miał wedle opisu pism lwowskich następujący przebieg:

W niedzielę w południe odbywały się jak zwyczajnie audyencye prywatne. Między innymi petentami zjawił się słuchacz filozofii na uniwersytecie lwowskim, Mirosław Siczyński, podając, iż pragnie namiestnika prosić o udzielenie posady suplenta. Gdy nadeszła kolej na Siczyńskiego i gdy on wszedł do sali posłuchań, rozległy się stamtąd w tej samej niemal chwili trzy szybko po sobie następujące strzały rewolwerowe. Na odgłos detonacyi przybiegli na miejsce wypadku urzędnicy, którzy pracowali w sąsiednich biurach, woźny prezydyalny oraz parę osób prywatnych, między temi aptekarz Doskowski z Krakowa.

Oczom ich przedstawił się straszny, przerażający widok. Namiestnik hr. Potocki, w mundurze urzędowym z odznaką orderu Złotego Runa, klęczał na ziemi zakrwawiony, z głęboką raną nad okiem, tuż obok zaś stał z dymiącem jeszcze narzędziem zbrodni Siczyński. Ujęto go niezwłocznie, równocześnie zaś pospieszono z pomocą ofierze zbrodni.

Pomoc ta jednak okazała się — niestety — bezskuteczną. W pięć kwadransów później, namiestnik hr. Potocki, otoczony rodziną i gronem dostojników, którzy na wieść o tragedyi przybyli do pałacu namiestnictwa, zmarł jak wierny syn Kościoła, opatrzony św. Sakramentami.

Morderca Mirosław Siczyński został odwieziony natychmiast na inspekcyę policyi, gdzie odbyło się przesłuchanie przez urzędującego komisarza. Siczyński z cynicznym uśmiechem przyznał się do zbrodni, motywując ją względami politycznymi, owemi urojonemi krzywdami, jakich naród ruski ma w Galicyi doznawać, a których winowajcą był — wedle zdania Rusinów — zmarły namiestnik hr. Potocki.

Po przesłuchaniu w policyi odstawiono Siczyńskiego do sądu karnego. Dalsze śledztwo objął dr. Seweryn Berson. Śledztwo to wykaże niewątpliwie, czy morderca działał na własną rękę i z własnego popędu, czy też był tylko wykonawcą woli

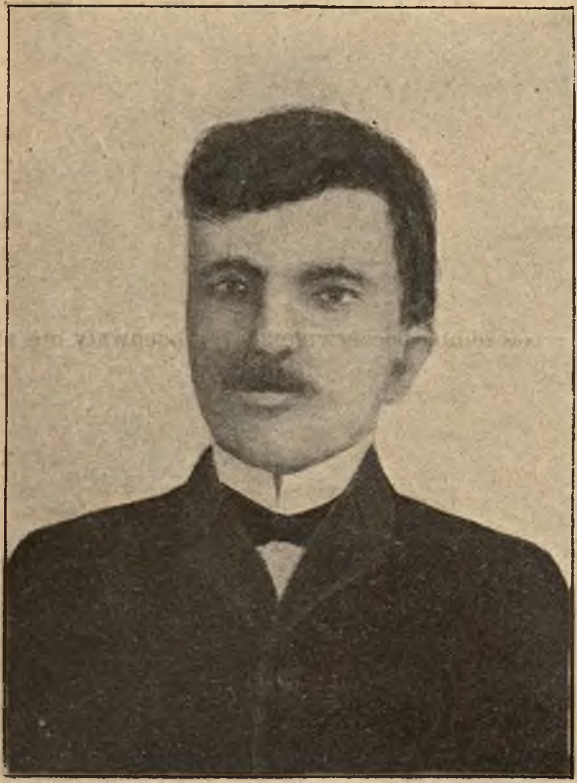


Ksawery hr. Branicki, opiekun sierót po zamordowanym.



Zdzisław hr. Tarnowski, opiekun sierót po zamordowanym.

i postanowienia terrorystycznej „bojówki" ruskiej, która podobno we Lwowie się zawiązała. Faktem jest tylko stwierdzonym, że najbliższa rodzina mordercy, w szczególności matka, wdowa po gr. kat. parochu i pośle sejmowym, wiedziała dobrze o zamiarach młodego hajdamaki i nietylko nie



Mirosław Siczyński, morderca Namiestnika.

próbowała go powstrzymać, lecz przeciwnie, do „bohaterstwa" podjudzała.

Jakie zaś zdeprawowanie uczuć, jakie zdziczenie umysłów i serc przenika młodsze zwłaszcza pokolenia ruskie, dowodem owacya, urządzona mordercy przez młodzież akademicką i gimnazyalną przed gmachem sądowym, dowodem wyrazy sympatyi, z którymi niecny rozbójnik z kilku stron się spotkał.

I nawet ci „najdostojniejsi" wśród Ukraińców, ich przewódcy, posłowie parlamentarni, nie tają zadowolenia z powodu okrutnej zbrodni, we Lwowie spełnionej, a tylko usilnie starają się wobec opinii cywilizowanego świata, która jednomyślnie wydała wyrok potępienia na terrorystyczną politykę ukraińskich „bohaterów" — winę dzikiego mordercy zmniejszyć i krok jego zbrodniczy usprawiedliwić. A mają ku temu celowi do dyspozycyi prasę niemiecką we Wiedniu.

Z pomiędzy Rusinów jedynie umiarkowana partya moskalofilska, czyli Starorusini oburzyli się szczerze z powodu ohydnej zbrodni swych najbliższych pobratymców i oburzeniu temu dali niedwuznaczny wyraz.

Ale najostrzej i najdobitniej potępił zbrodnię barbarzyńcy ogół społeczeństwa polskiego, w szczególności zaś gorąca i wrażliwa ludność lwowska. Już bezpośrednio po strasznym zamachu zgromadziły się przed pałacem namiestnikowskim tłumy publiczności, chcąc się dowiedzieć o przebiegu niebywałego wypadku i o stanie zdrowia rannego namiestnika.

A gdy żałobna wieść rozniosła się po mieście, budząc powszechny żal i współczucie, młodsze pokolenie ludności lwowskiej urządziło demonstracyjny pochód po ulicach miasta, nie tając oburzenia przeciw tej części społeczności ukraińskiej, której agitacyę można uważać za moralną sprawczynię tragedyi, a która ze zbrodnią ohydną się z solidaryzowała.

I tym objawom serdecznego a gorącego żalu ani się dziwić nie można, ani tem mniej ich potępiać. Bo zbrodnia Mirosława Siczyńskiego dotknęła całe społeczeństwo nasze i cały naród w jego najświętszych uczuciach. Nic dziwnego więc, że do żalu z powodu strat zacnego syna narodu przyłączyło się uczucie zgrozy i oburzenia.



Gmach namiestnictwa i pałac namiestnikowski we Lwowie.



Tłumy publiczności lwowskiej, które otoczyły pałac namiestnikowski na wieść o tragicznej śmierci hr. Potockiego.



Radca sądu krajowego dr. Seweryn Berson, prowadzący śledztwo karne.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

2)

— Panie inspektorze — usprawiedliwiał się naczelnik — zauważyłem wprawdzie, że pasażerów jest dosyć w Horyni, ale w myśl wskazówek dyrekcyi staram się oszczędzać wozów. Zresztą nie wiedziałem o depeszy.

Lerche po pewnej chwili zwrócił się do Stańskiego z zapytaniem:

— Dlaczego pan nie meldował o depeszy?

— Powiedziałem wyraźnie: „pociąg osobowy przepełniony“ i byłem przekonany, że pan naczelnik, jako doświadczony i rutynowany urzędnik rozumie, iż podobną wiadomość mogłem otrzymać tylko zapomocą depeszy.

Naczelnik spojrzał złem okiem na Stańskiego i rzekł dobitnie:

— Pańskie przekonania nic mnie nie obchodzą... według regulaminu powinien pan meldować przełożonemu jasno i dokładnie.

Lerche rozumiał bardzo dobrze, że wina opóźnienia spada tylko na naczelnika, a bronienie się tegoż, że nie wiedział o depeszy, jest tylko wybiegiem, ale stosownie do zasady, przyjętej w dyrekcyi, nie mógł podwładnemu przyznać słuszności wobec przełożonego, powiedział też wymijająco:

— W tej sprawie przesłucham świadków, ich zeznania rozjaśnią pewne wątpliwości... Ale, panie Stański, jest tu równie poważna kwestya, a mianowicie skarży się pan naczelnik na szorstki i niewłaściwy sposób zachowania się pana.

— Mój?... I względem kogo?

— Względem mnie, swego przełożonego — rzekł porywczo naczelnik — czy pan już zapomniał, jaką odpowiedź otrzymałem przy kasie?

— Pamiętam panie naczelniku... Stosownie do regulaminu poszedłem przed przyjściem pociągu sprawdzić sprzedaż biletów. Pan naczelnik zrobił mi z tego powodu cierpką uwagę, na co odpowiedziałem, „że regulamin obowiązuje i pana naczelnika i mnie“.

Lerche ożywił się, słysząc te słowa... więc o tem zajściu mówiła mu Janka, i w tej sprawie chciała być świadkiem.

— Czy był kto świadkiem tej sceny, godnej pożałowania? — zwrócił się z niewinną miną do naczelnika.

— Był tam tłum robotników, nazwisk nie znam.

— A gdzie to było panie Stański?

— Przy kasie osobowej.

— Panie naczelniku, kto pełnił służbę w kasie?...

— Panna Trawecka.

— Przesłucham ją jako świadka — mówił Lerche poważnie — a swoją drogą dziwi mnie, panie Stański, że pan użył tak niewłaściwego tonu wobec naczelnika swego.

— Może się i uniosłem, ale pan naczelnik mojej wizytacyi kasy nie wziął za spełnienie wymagań regulaminu, lecz powiedział głośno: „wiem, co się tu święci“, czyli innemi słowy widział w tem coś podejrzanego.

— Gdyby pan tam był w interesie służby — uśmiechnął się drwiąco naczelnik — nie dopatrzyłby pan w moich niewinnych słowach nic podejrzanego. Czyż nie tak, panie inspektorze?

— Hm... przesłucham wpierw kasyerkę...

— Czy kazać zawołać? — pospieszył usłużnie naczelnik.

Inspektor Lerche wyjął zegarek, spojrzał i odpowiedział:

— To pora obiadowa... Nie zatrzymuję panów... Dalszy ciąg dochodzenia odkładam na popołudnie.

Wstał z krzesła, zamknął tekę z papierami, pożegnał urzędników skinieniem głowy i wyszedł na peron. Naczelnik pospieszył za nim i rzekł tonem prośby:

— Może teraz pan inspektor pozwoli na małą przekąskę?

— Dziękuję... Chciałbym skorzystać z chwili swobodnej i przejść się po lesie. My w mieście nie mamy tej rozkoszy.

— Gdy ma się ją codziennie, znudzi się wreszcie — zaśmiał się naczelnik.

— Ale ja nie mam lasu codziennie... nie zatrzymuję pana — pożegnał go i poszedł dalej.

Myślał o Jance, patrząc zdala od czasu do czasu w jej otwarte okna. Pobladła, zeszczuplała, oczy podkreślone, może chora? może ta praca dwudziestu czterech godzin, jest nad jej siły? Musi ją skłonić, ażeby poradziła się lekarza... I to być może, że naczelnik zbyt dosłownie trzyma się względem niej regulaminu? Kto wie, czy nie dokucza? czy nie pilnuje jej czynności z biurokratyczną pedanteryą? To trzeba zbadać... Spojrzał w jej okna i nadpłynęła fala rozczulenia. Tam jest ona, ta jego umiłowana i wyśniona... Gdyby go ona mogła pokochać... nie tak, jak on ją miłuje bez zastrzeżeń, całą duszą i sercem, i byłby szczęśliwy, gdyby mógł ponieść dla niej ofiarę serdeczną, ale gdyby go tylko lubiła, jak przyjaciela, jak brata...

Przechodził przez tor i nagle posłyszał okrzyk ostrzegający, spojrzał, a lokomotywa omal go nie najechała i to tylko dzięki przytomności umysłu maszynisty.

Ten wypadek otrzeźwił go i uśmiechając się drwiąco, szepnął:

— Otóż to są skutki marzeń.

I co mnie tak nęci i wiąże do niej? — rozmyślał dalej. Na świecie są piękniejsze, wszechstronniej wykształcone, staranniej wychowane... a jednak ze wszystkich ona jedna i jedyna podoba mi się w tym stopniu. Nietylko fizycznie, ale ma charakter prawy, szlachetny, szczery... Żadnego udawania, kokieteryi i tak entuzyazmuje się do ideałów prawdy i szczęścia ludzkości.

Jest socyalistką, to prawda, ale czyż socyalizm nie jest tak szlachetną utopią, jak marzenie Platona, nauki Chrystusa, pragnienia Buddy? I co wart człowiek, który płynąc przez męty życia nie dąży do kraju ideałów, do wymarzonej utopii szczęścia, równości, pogody i spokoju?

On przecież sam, poznawszy ideały i pragnienia socyalistów, pozbył się swych uprzedzeń. Prawda, że nie godzi się na ich środki i sposoby walki, że oburza go życie koszarowe przyszłego ustroju społecznego, że ma wstręt kulturalny do niwelowania wszystkich, do strychulca zmiatającego każdą jednostkę, wyrastającą nad poziom przyjęty... Ale to są naleciałości z codziennego życia, to są spaczone wyobrażenia ludzi, idących przebojem do celu, lecz sama idea usunięcia wyzysku, nadużyć, uspołecznienia ludzi i dania im odpowiednich warunków życia i rozwoju, pozostaje zawsze szlachetnem marzeniem.

Był już w lesie i posłyszał stuk i łomot pociągu pospiesznego. To zwróciło jego myśli do spraw bieżących, spojrzał na zegarek i wrócił na stacyę.

Przesłuchał służbę kolejową, napisał protokół dochodzenia, wreszcie wezwał Jankę.

Weszła śmiało, spokojna i usiadła na wskazanem krześle.

— Czy pani pamięta spotkanie pana naczelnika z panem Stańskim, w dniu opóźnienia pociągu? — spytał Lerche uprzejmie, nie spuszczając oczu z twarzy i postaci Janki.

— Pamiętam — odpowiedziała.

— Może pani opowie.

— Natłok podróżnych był tego dnia wielki. Pan Stański, widząc to, polecił im podzielić się na grupy, a tem samem ułatwił mi robotę.

— To nie należy do rzeczy — odezwał się kwaśno naczelnik.

— Pan daruje, ale tego rodzaju uwagi należą do mnie — rzekł Lerche tonem suchym, urzędowym — proszę opowiadać dalej.

— Nadszedł pan naczelnik i zrobił uwagę, że pan Stański nie powinien być przy kasie.

— Tego nie powiedziałem, o ile pamiętam — przerwał naczelnik.

— Mogę powtórzyć słowa — rzekła zaczerwieniona Janka — pan naczelnik powiedział: „towarzyszka sama da sobie radę, a tu nie miejsce dla pana...“

Lerche spojrzał z wymówką na naczelnika, ale milczał, dając znak ręką, ażeby mówiła dalej.

— Pan Stański zasłonił się przepisem regulaminu, co zirytowało pana naczelnika... i usłyszał odpowiedź, że regulamin obowiązuje wszystkich urzędników. Pan naczelnik zagroził mu wówczas karą z dyrekcyi... To wszystko, co wiem.

— Dziękuję pani — podał jej rękę.

— Czy mogę wyjść?

— Naturalnie — skinął Lerche głową i zwracając się do naczelnika — dochodzenie skończyłem i przedłożę panu hofratowi.

Schował papiery, skinął głową na pożegnanie i wyszedł z biura. Naczelnik z całego toku dochodzenia zrozumiał, że sprawa jego w oczach inspektora nie jest tak czysta i jasna, jak on ją podał w urzędowem wyjaśnieniu. Postanowił bądźcobądź, jeśli nie pozyskać dla siebie inspektora, to osłabić niekorzystne wrażenie. Wyszedł też z inspektorem i przemówił tonem żartobliwym:

— Teraz tym młodym przewróciło się w głowie; nie rozumieją, że służba jest służbą, a szacunek dla przełożonego być musi.

— No... tak... zapewne — odpowiedział Lerche, rozmyślając o odpowiedzeniu Janki.

— Cóż pan inspektor sądzi o całej sprawie? Ten Stański sieje zgorszenie wśród służby, słusznie nazwała go moja żona impertynentem.

— Dochodzenie, jak panu wiadomo, przedłożę panu hofratowi, co on zadecyduje, tego nie wiem.

— Wiem o tem... ale jakie jest osobiste zdanie?...

— Moje?... Zdaje mi się, że Stański będzie dobrym urzędnikiem ruchu... trochę za szorstki, ale też młody jeszcze.

Naczelnik poczerwieniał, tej pochwały nie spodziewał się i rzekł dość porywczo:

— Z takim urzędnikiem, który niesłusznie oskarża swego przełożonego, trudno wspólnie pracować.

— Może pan zawiadomić dyrekcyę o tem, ja w tej chwili rozmawiam prywatnie z panem.

— Wiem panie inspektorze... i jeśli chcę się go pozbyć, to tylko w interesie służby. Ja w całej tej awanturze postąpiłem legalnie i regulaminowo.

— No, tak... ale między nami mówiąc, zdaje mi się, że pan zbyt pedantycznie odnosi się do Stańskiego i Traweckiej. Czy zauważył pan, jak ona zmieniona? Czy nie przeciąża pan jej formalnościami?

— Pilnuję tylko porządku.

— Ależ pan wie, że nawet wyraźny przepis można tak lub inaczej stosować. Gdyby zachorowała, a doktór uznał, że przyczyną była urzędowa służba, byłoby to niemiłem dla pana i dla mnie.

Naczelnik spojrzał badawczo na inspektora i pomyślał z goryczą, że on nawet stronę kasyerki bierze; westchnął mimowolnie i rzekł:

— Ach, gdyby się pozbyć tych dwojga! Horynia była taka spokojna, cicha, porządna...

— To zależy od pana hofrata — odezwał się Lerche, a myśl przeniesienia Stańskiego i Janki zaczęła w nim kiełkować.

Stański na innej stacyi, w zgodzie ze swym naczelnikiem, może być spokojnym, pożytecznym urzędnikiem. Przeniesienie dogodzi i naczelnikowi Horyni i Stańskiemu. Wprawdzie dla dyrekcyi lepiej i dogodniej mieć na stacyi niedowierzających sobie urzędników, bo pilnują się nawzajem, ale możeby na ten raz zrobić wyjątek.

No, a Traweckę odsunąłby z oczu zazdrosnych naczelnikowej i Alisi, ustałyby plotki, inny naczelnik byłby względniejszy, mieszkanie jej nie byłoby w plotkarskiej kamienicy. Dużo, bardzo dużo przemawia za jej przeniesieniem, bo tu służba ciężka, męcząca...

Naczelnik, licząc na wpływ żony i Alisi, usilnie zapraszał inspektora do siebie.

— Na razie zechciej mnie pan zwolnić... Jestem dziś rozstrojony i nie byłbym przyjemnym gościem, a zależy mi na dobrej opinii pań — uśmiechnął się przyjaźnie.

— Więc zostawię pana inspektora na chwilę samego, mam do załatwienia pewne sprawy.

— Niechże się pan nie krępuje.

Odetchnął po jego odejściu i kołując poszedł do mieszkania Janki. Już był na schodach drugiego piętra, gdy spotkał schodzącą Zgierską. Ta skłoniła mu się nisko i z miną zalotną odezwała się:

— Pan inspektor zapewne do panny Traweckiej... ale jej niema. Właśnie wracam.

— Wyszła? — spytał rozczarowany.

— To jedyna jej przyjemność na tem pustkowiu... Biedna ona, ja znam ją dobrze, bo stołuje się u mnie. Co ona tu przecierpi? Rozchorowała się, nie wiem, czem jej dogodzić.

— Jakto rozchorowała się? Dziś ją widziałem.

— Trzyma się siłą woli, ale miewa bóle głowy, w nocy gorączkę, nie je, źle sypia.

— Ale dlaczego?

— Dokuczają jej tutaj, ja jedna jestem z przyjaźnią.

— Czy skarżyła się?

— O nie, ona za dumna... ale ja wiem. A może to z tęsknoty, bo prócz pana inspektora nikt jej nie odwiedza, a to taki gołąbek cichy, spokojny, nikomu wody nie zamąci.

Paplanina tej kobiety o Jance wydała mu się niesmaczną, a nawet ubliżającą, bo i cóż Janka może z nią mieć wspólnego?

— Nie wie pani, gdzie poszła panna Trawecka?

— Gdzie? Naturalnie, że wiem... ona wszystko mi mówi, niema sekretów. Wieczorami zachodzi do domów gospodarskich na mleko, i dobrze robi, mleko jest zdrowe dla niej, pomaga jej.

— To wieczorami, a teraz? — spytał zniecierpliwiony.

— Teraz? Hm... do fabryk nie poszła, bo robotnicy zajęci... i jaka to godna osoba, nikim nie gardzi, z każdym pomówi...

— No, dobrze... ale gdzie poszła?

— Albo w pola, bo lubi chodzić miedzami, pomiędzy zboża, albo też najpewniej jest w lesie, bo dziś gorąco, a w lesie chłód przyjemny. I ja poszłabym z nią, ale mam obowiązki, mój mąż, Zgierski, jest pomocnikiem magazyniera...

— Zatem jest w lesie—przerwał jej inspektor Lerche.

— Tak mi się zdaje, ale jeśli pan inspektor chce, pójdę ją zawołać, a pan poczeka w jej pokoju. Bardzo ładnie umeblowany...

— Dziękuję pani... przyjdę do panny Traweckiej innym razem.

— Jakże jej będzie przykro, bo przecież to taki zaszczyt.

— Do widzenia — odwrócił się.

— Polecam się szlachetnej pamięci i mego męża Zgierskiego, pomocnika magazyniera...

Lerche szybko zbiegł ze schodów, klnąc w duszy to spotkanie i wymowę pani Zgierskiej.

Na drodze, przed kamienicą, stanął niepewny, gdzie iść, ażeby spotkać Jankę. Tak dużo obiecywał sobie z dzisiejszego widzenia się z nią, i nie zastał jej. Czy zrobiła to rozmyślnie? Chyba nie... tylko tak długo zabawiał go naczelnik, ona czekała i wyszła. Ale gdzie iść?... Podniósł oczy na dworzec i ujrzał w otwartych oknach pierwszego piętra rumianą twarz Alisi. Ukłonił się i dość szybko poszedł drogą w stronę lasu. Gdy przechodził przez tor, miał ochotę spytać budnika o Jankę, czy nie widział jej, powstrzymał się jednak w porę i szybszym krokiem wszedł do lasu.

Owionął go przyjemny chłód i silny zapach żywicy, pomieszany z wonią kwiatów. Odetchnął głęboko, zdjął kapelusz i leśną drogą poszedł przed siebie. Po pewnym czasie drogi się krzyżowały, stanął, namyślając się, którą wybrać; i jedna i druga były równie piękne, ocienione świerkami, na jednej wszakże, w oddali, wśród ciemnej zieleni świerków, odbijały jaśniej liście dębu i brzozy. Jeśli ją spotkam, pomyślał, będzie to przepowiednią, że moja znajomość skończy się szczęśliwie, iż pozyskam jej wzajemność.

I szedł w stronę liściastego klombu drzew. Nagle wydało mu się, że posłyszał jakiś szmer. Nasłuchiwał i w oddali dojrzał wiewiórkę, która przeskakując z gałęzi na gałąź, potrącała szyszki. Posunął się dalej cicho, ażeby nie spłoszyć zwinnego zwierzątka, a w chwili, gdy przystanął, wiewiórka z piskiem poskoczyła w głąb lasu. Rozejrzał się wokoło i wśród ciemnych pni ujrzał jasną suknię.

Serce zabiło mu szybciej i nie zważając na trzeszczące pod stopą gałązki, skierował się w tę stronę.

Ujrzał Janinę siedzącą na pniu ściętego dębu. Spostrzegłszy inspektora, Janka podniosła oczy i na jego ukłon powiedziała z lekkiem zdziwieniem:

— A, to pan?

— Szukałem panią i uważam to za szczęśliwą przepowiednię, że spotkałem panią nawet w lesie.

— Zabłądzić w nim nie można — uśmiechnęła się — czy już po dochodzeniu?

— Tak jest... czy interesuje panią wynik?

— Bardzo nawet, gdyż w tem położeniu co pan Stański, mogę się znaleść każdego dnia.

— To byłoby trudniej, pani jest bardziej niezależną jako kasyerka.

— Zapomina pan o regulaminie... ale mniejsza o mnie... co się stało?

— Co będzie?... Szczerze mówiąc, naczelnik nie jest bez winy, ale stosunki służbowe mają swoje wymagania. Pan Stański zapewne będzie ukarany, wprawdzie lekko, ale będzie.

— To jednak jest niesprawiedliwością — oburzyła się — sam pan uznaje winę naczelnika, a jednak... ślusarz zawinił, a kowala powieszono.

— Trudno... rygor w służbie musi być.

— A panu sumienie nic nie mówi? — spytała dość porywczo.

— Sumienie?! — uśmiechnął się gorzko — ja jestem tylko wykonawcą i stróżem przepisów.

— Rola nie do pozazdroszczenia – powiedziała lekceważąco — no, i na jaką karę zasłużył pan Stański?

— Zapewne będzie to grzywna, niewielka kwota, tak, dla formalności.

— Ależ idzie o zasadę, nie o formy.

— Niechże się pani nie gniewa — powiedział z dobrym uśmiechem – pomówię z panią szczerze, jak z przyjacielem... Pozwoli pani, że odpocznę trochę.

Usiadł naprzeciw niej na zwalonej kłodzie, zapalił papierosa i po chwili zaczął:

— W sprawie pana Stańskiego, ja nie rozstrzygam, tylko dyrektor, a znając go dobrze przypuszczam, że ukarze go grzywną, gdyż przedstawię rzecz możliwie najbezstronniej.



Usiadł naprzeciw niej na zwalonej kłodzie i zapalił papierosa.

— Dziwne to stosunki — westchnęła — niewinny, ale że podwładny, więc ulega karze.

— Przypuszczam jednak, że ominie go kara, a tylko z powodu złego stosunku z naczelnikiem zostanie przeniesiony na inną stacyę, i to rozwiązanie będzie najlepsze.

Janina spochmurniała, bo jeśli zabraknie Stańskiego, kto załatwi przesyłki i paczki do Królestwa? Po dobrej chwili spytała:

— Czy to przeniesienie już postanowione?

— Prawie, że tak — powiedział Lerche, który widząc zmianę w jej twarzy, zaczął ją podejrzewać o sprzyjanie Stańskiemu.

— A kiedy nastąpi?

— Za kilka dni, sam dyrektor zadecyduje, gdzie i kiedy ma być przeniesiony.

— To źle — westchnęła Janka mimowolnie.

Słowa te utwierdziły w inspektorze podejrzenie zazdrości i postanowił przenieść Stańskiego. Wszak ona zeznawała tak na jego korzyść, a on, nierozważny brał to za poczucie, sprawiedliwości; i teraz w lesie rozpoczęła rozmowę znów w sprawie Stańskiego. Czuł się upokorzony i milczał chmurny.

Janka wspomniała na swe przyrzeczenie dane Wapieńskiemu, że bądźcobądź wysyłki dojdą na miejsce; wiedziała, że od przedstawienia inspektora zależy to przeniesienie, któremu trzeba koniecznie zapobiedz, i spojrzała badawczo na posępnego inspektora. Odczuła. że go czemś uraziła, jakkolwiek nie zdawała sobie sprawy czem i przykro się jej zrobiło. Rzekła więc z przyjaznem współczuciem:

— Dlaczegóż pan taki milczący? a miał mi pan tyle do powiedzenia.

To pytanie, a zwłaszcza ton jego sprawiło mu przyjemność, rozchmurzył się i rzekł:

— Rozmowa i stosunek wzajemny mają tylko wtedy pewną wartość, jeśli są szczere. Czy uznaje to pani?

Janka skinęła głową i spojrzała uważniej na mówiącego.

— Ja z panią będę bardzo szczery, a od pani nie śmiem wymagać szczerości, za mało pani mnie zna, ale prosiłbym o jedno. Jeśli pani może mi powiedzieć prawdę, to powie, a nie zechce pani, niech się pani nie zasłania utartymi frazesami, ale odpowie: nie chcę, czy nie mogę powiedzieć prawdy. Czy przyjmuje pani ten układ i warunki?

— Dobrze, ale z tem zastrzeżeniem, że wszelkie sprawy osób trzecich stanowią wyjątek.

— Zgadzam się... Więc najpierw wypłyńmy na czyste wody... Bo widzi pani, już przy przesłuchaniu w mojem biurze zobaczyłem z wielkiem mojem zdziwieniem, że pani jest szczerą, prawdomówną, no i może zanadto szlachetną... ale nie dowierzałem, tyle razy spotkał mnie zawód... Ostatnia nasza rozmowa w pokoju pani umocniła moje pierwsze wrażenie i zmieniła w przekonanie. Teraz wierzę pani bezwarunkowo — umilkł na chwilę, jak gdyby szukał słów.

Janka nie bez zdziwienia słuchała go, spojrzała znowu bacznie na twarz jego. W pierwszej chwili zdawało się jej, że to jakaś pułapka na nią i że pochwałami chce uśpić jej czujność. Lecz oczy jego były takie szczere, patrzyły tak serdecznie, że opuściła ją podejrzliwość.

— Może pani zechce mi powiedzieć — mówił po chwili — czy nie jest pani zajęta.. uczuciowo, jakim mężczyzną?

— Nie — odpowiedziała pewnym i dźwięcznym głosem.

— A jakiego rodzaju stosunek łączy panią ze Stańskim i z Wapieńskim?

Podniosła swe piękne oczy na pytającego, tak zdziwiła ją wzmianka o Wapieńskim. Chwilę namyślała się, wreszcie odpowiedziała:

— Z nimi łączy mnie wspólność przekonań i dążenie do tego samego celu.

— To już dobrze, wierzę pani— mówił rozpromieniony — bo ci dwaj rzucali przykry cień, gdy myślałem o pani... a myślałem bardzo często. Od czasu ostatniego spotkania się naszego, widzę wielką zmianę... zmizerniała pani, pobladła pani, czy czuje się pani chorą? Pytam jako przyjaciel.

— Chorą nie jestem, jak pan widzi, ale miewam zawroty głowy, źle sypiam...

— Miewam gorączkę, brak mi apetytu — uzupełnił Lerche — wiem o tych szczegółach... Jakaś jejmość, spotkana na schodach do mieszkania pani, opowiadała mi.

— Ach, to pewno pani Zgierska — uśmiechnęła się — ona lubi dużo mówić.

— O, i bardzo dużo — potwierdził chętnie — musi męczyć panią.

— To dobra kobieta, stołuję się u niej, a przed jej gadatliwością umiem się obronić.

— No, mieszkanie i sąsiedztwo ma pani nieszczególne... cała kamienica musi się trząść od plotek.

— Nic o tem nie wiem... zresztą plotki nic mnie nie obchodzą.

— Ale z plotek tworzy się opinia — zauważył Lerche.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Turniej bilardowy.

Na wzór turniejów szachistów poczęli w ostatnich czasach urządzać swe popisy i amatorzy gry bilardowej, wykazując nieraz prawdziwe w tym kierunku mistrzostwo. Jak wiadomo, początki gry w bilard sięgają dość odległych czasów, gdyż już w wieku szesnastym uprawiano ją z wielkiem zamiłowaniem we Francyi, w innych krajach Europy nie była jednak znaną i dopiero za czasów Napoleona pierwszego wprowadzono ją na całym świecie. Dzisiaj bilard uważany jest powszechnie za jedną z najprzyjemniejszych i najodpowiedniejszych gier pokojowych, tak iż wiele zakładów naukowych, zwłaszcza za granicą, urządziło specyalne sale bilardowe dla swoich wychowańców.

Najbardziej rozpowszechnionym rodzajem gry w bilard są tak zwane karambole, polegające na tem, iż partner, uderzając kijem w swoją kulę, winien nią trafić dwie inne, znajdujące się na bilardzie. Mistrzowie gry bilardowej okazują tutaj niezwykłą wprawę, udaje im się nieraz bowiem po kilkaset razy z rzędu trafić jedną kulą dwie inne. Obecnie urządzono w Berlinie turniej bilardowy, w którym walczą o mistrzostwo świata dwaj najsławniejsi bilardziści, wiedeńczyk Jan Bruno i berlińczyk Hugo Kerkau.



Turniej bilardowy: Decydujący moment turnieju 1. Jan Bruno; 2. Hugo Kerkau.

Szkoła kelnerska we Lwowie.

W ubiegły wtorek odbyło się w jednej ze sal lwowskiej szkoły przemysłowej uroczyste otwarcie pierwszego kursu dla uczniów zawodu gospodnio-szynkarskiego. Kurs ten ma na celu kształcenie kelnerów na kulturalnych adeptów tego zawodu, by starając się o koncesyę mogli złożyć wymagany przez ustawę przemysłową dowód uzdolnienia i byli chlubą zawodu swego.

Kurs ten doszedł do skutku dzięki inicyatywie prezesa Związku szynkarzy galicyjskich p. Krzysztofa Janowicza i dzięki usilnym staraniom wydziału lwowskiej korporacyi gospodnio-szynkarskiej, a przy materyalnem poparciu ze strony Wydziału krajowego, oraz gminy miasta Lwowa. Na uroczyste otwarcie kursu przybyli: przełożony korporacyi p. Łukawski, w zastępstwie prezydenta miasta radca magistratu p. Zawistowski, instruktor dla stowarzyszeń przemysłowych dr. Schönnet oraz reprezentanci pryncypałów i dyrektor szkoły przemysłowej p. Kłapkowski.

Kurs ma trwać około trzech miesięcy, a uczęszcza nań przeszło trzydziestu uczniów, którzy słuchają następujących wykładów: 1. Rachunki przemysłowe i książkowanie; 2. Stylistyka polska i korespondencya fachowa; 3. Hygiena zawodowa i porada w nagłych wypadkach; 4. Nauka języka niemieckiego; 5. Nauka obsługiwania gości; 6 Nauka o środkach spożywczych; 7. Przepisy przemysłowe i prawne, a w końcu 8. Geografia handlowa. Za przykładem korporacyi gospodnio-szynkarskiej pójdą prawdopodobnie niebawem i inne korporacye.



Fot. M. Münz, Lwów.

Szkoła kelnerska we Lwowie: Uczestnicy kursu kelnerskiego, w dniu uroczystego otwarcia szkoły. 1. Przełożony korporacyi Łukawski; 2. Radca magistratu Zawistowski; 3. Instruktor przemysłowy dr. Schönnet; obok niego na lewo kierownik kursu, dyr. Kłapkowski; 4. Prezes Związku gospodnio szynkarskiego Janowicz.

Straszny wypadek.

W krótkim przeciągu czasu już drugi cios straszny spotyka zamieszkałą pod Tomaszowem Rawskim rodzinę państwa Wernerów. Przed niedawnym czasem złoczyńcy, do których należeli i ludzie ze służby folwarcznej, napadli na dwór w Bielinie i zamordowali w okrutny sposób jego właścicieli, śp. Wernerów, obecnie zaś tragiczną śmiercią wskutek nieszczęśliwego wypadku zmarł bliski ich kuzyn.



Straszny wypadek: Śp. Jerzy Werner.

S. p. Jerzy Werner, świeżo ukończony słuchacz Akademii rolniczej w Dublanach, bawił na praktyce ogrodniczej w Zaleszczykach. Przed kilku dniami, pragnąc poczynić kilka zdjęć fotograficznych z malowniczych widoków, jakie w tamtej okolicy spotyka się na każdym kroku, udał się na wysoki i stromy brzeg Dniestru po stronie bukowińskiej. Po dokonaniu kilku zdjęć, aparat foto-

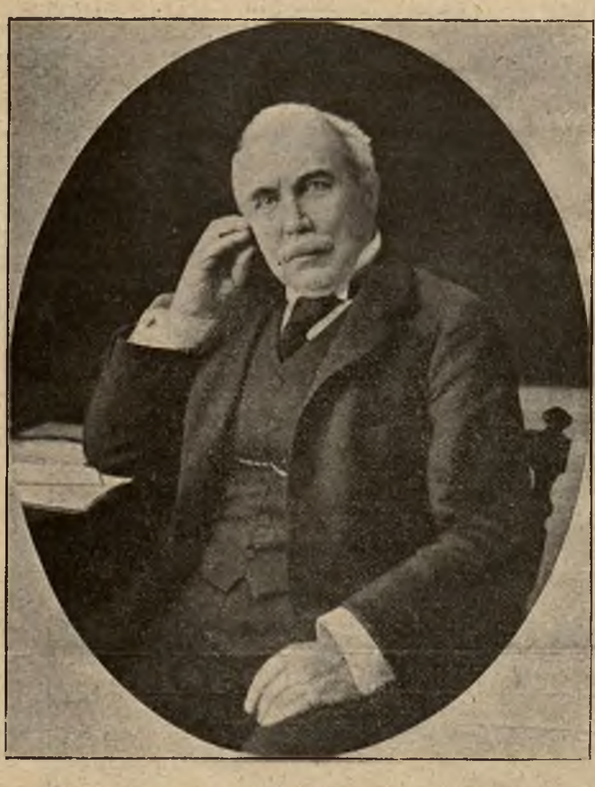
graficzny z powodu osunięcia się kamienia, o który był wsparty, nagle zachwiał się, a młody amator, chcąc go przytrzymać, przechylił się zanadto nad brzeg — stracił równowagę i spadł w przepaść na leżące w dole głazy z wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów. Gdy przybiegli opodal pracujący ludzie, znaleźli na miejscu katastrofy martwe już zwłoki młodzieńca z roztrzaskaną strasznie głową.



Rozruchy wyborcze w Lizbonie: Grupa demonstrantów pod ratuszem lizbońskim.

Rozruchy wyborcze w Lizbonie.

Wrzenie rewolucyjne w Portugalii, które zdawało się, iż dosięgło swego punktu kulminacyjnego w zabójstwie króla Carlosa i jego następcy, w istocie nie przestaje nurtować społeczeństwa portugalskiego. Najlepszym dowodem usposobienia szerokich mas ludności w Portugalii są sceny, jakie rozegrały się tam przed kilku dniami przy wyborach do kortezów, czyli parlamentu lizbońskiego.



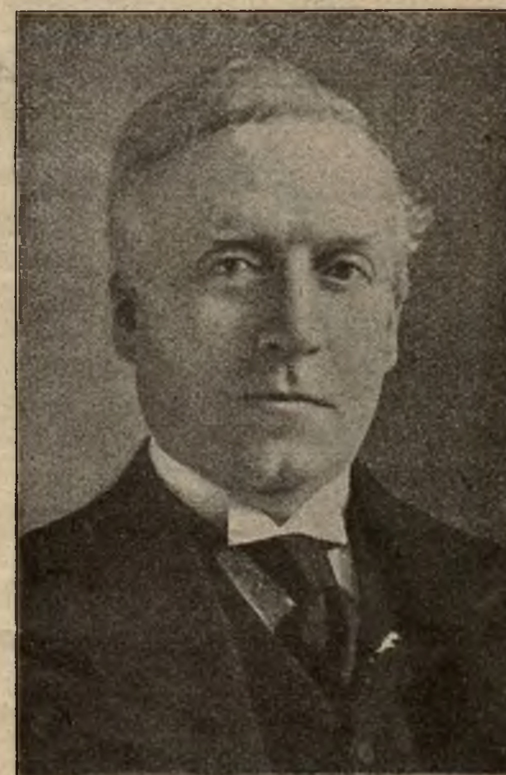
Zmiana rządu w Anglii: Ustępujący premier angielski Henryk Campbell-Bannerman.

Rząd, pragnąc przeprowadzić swoich kandydatów, chwytał się nielegalnych sposobów, między innymi i tego, iż urny wyborcze, wypełnione już kartkami głosujących, brał dla błahych powodów do przechowania przed dokonaniem skrutynium. Skutkiem tajnych manipulacyi, kandydaci rządowi oczywiście osiągnęli większość głosów. To postępowanie rządu wywołało wśród zebranych przed radą miejską tłumów silne wzburzenie, które następnie zamieniło się w krwawe starcia z policyą, wywołując liczne ofiary w zabitych i rannych. W obawie silniejszych rozruchów rząd obsadził wszystkie place wojskiem, nakazując rozpędzać siłą zbierające się tłumy. Ponadto w ostatnich dniach odkryto w Lizbonie spisek na życie króla Manuela, co jeszcze bardziej pogorszyło ogólne położenie w kraju. Walka więc republikanów z rządem trwa po dawnemu i może doprowadzić znowu do niepożądanych konfliktów.

Zmiana rządu w Anglii.

W łonie gabinetu angielskiego zaszła obecnie decydująca zmiana, która choć od dawna była oczekiwaną, wpłynąć jednak może stanowczo na kierunek tak wewnętrznej jak i zewnętrznej polityki Wielkiej Brytanii.

Dotychczasowy premier angielski, sir Campbell-Bannermann z powodu ciągnącej się już od dłuższego czasu choroby podał się do dymisyi, następcą zaś jego mianował król Edward dotyczasowego ministra skarbu, Herberta Henryka Asquitha. Nowy kierownik polityki angielskiej otrzymał w spadku po swym poprzedniku dość ciężkie zadanie, musi bowiem powetować jego niepowodzenia w polityce wewnętrznej, jakie w ostatnich zwłaszcza latach spotykały Bannermanna, a zarazem utrzymać Anglię na dotychczasowem stanowisku mocarstwa, rozstrzygającego w sprawach polityki międzynarodowej. W przeciwieństwie do Bannermanna, który był Szkotem i pochodził z rodziny drobnomieszańskiej, Asquith jest Anglikiem, synem zamożnych właścicieli ziemskich w Yorkshire. Po ukończeniu studyów prawniczych w Oksfordzie poświęcił się zawodowi adwokackiemu, w którym wskrótce zasłynął jako znamienity obrońca. Z procesów, w których brał udział, najsławniejszy może jest proces robotniczy o zaburzenia w Hydeparku, w którym zdołał obronić dawnego przywódcę robotników, a obecnego kolegę swego w gabinecie, Johna Burnsa. Asquith w całej Anglii cieszy się niezmierną popularnością, co mu w znacznej mierze może ułatwić spełnienie czekającego zadania.



Zmiana rządu w Anglii: Nowy premier Herbert Asquith

Śmierć polskiego śpiewaka zagranicą.

Jeden z młodszych, a wielce obiecujących śpiewaków polskich, Wilhelm Schapira, którego występy na scenie lwowskiej zjednały mu ogólne uznanie krytyki i publiczności, zmarł przed kilku



Rozruchy wyborcze w Lizbonie: Aresztowanie jednego z demonstrantów.



Wystawa przemysłowa w Suchej: Komitet miejscowy i wystawcy.

dniami w Medyolanie we Włoszech, gdzie bawił od kilku miesięcy na studyach.

Bł. p. Schapira obdarzony był dźwięcznym i silnym głosem barytonowym, który rozwijał się coraz piękniej, tak iż przed młodym lwowianinem otwierała się świetna karyera artystyczna.

Niestety nie było mu danem korzystać z owoców sumiennych studyów, podjętych naprzód we Lwowie, a potem we Włoszech, zapadł bowiem na zdrowiu i uległ ciężkiej chorobie. Przedwczesna śmierć obiecującego śpiewaka wywołała szczery żal wśród licznych zwolenników jego talentu.



Wystawa przemysłowa w Suchej: Oddział »związku zjednoczonych hafciarek w Krakowie«.



Epilog skandalu: Edmund Łubich Gasiński.

Wystawa przemysłowa w Suchej.

Od kilku już lat propaguje „Liga pomocy przemysłowej“ sympatyczne hasło popierania wytwórczości krajowej, głosząc równocześnie potrzebę i konieczność rugowania przemysłu obcego. Nie ogranicza się jednak w swej patryotycznej działalności na powtarzaniu utartych i stąd mały skutek wywierających frazesów, lecz czynami i pozytywną pracą utwierdza w społeczeństwie przekonanie o słuszności swych haseł. Nie ma dziś prawie miejscowości w Galicyi, gdzieby „Liga pomocy przemysłowej“ nie urządziła wystawy okazów przemysłu krajowego, aby mieszkańców danej miejscowości pouczyć, jakie wyroby kraj wytwarza, gdzie te wyroby i jaką drogą nabywać można i aby ułatwić nawiązywanie stosunków między fabrykantami czyli producentami, a kupcami i publicznością, czyli konsumentami.

Dzięki też tej niezmordowanej pracy, idea uprzemysławienia kraju staje się coraz potężniejszą i coraz szersze zatacza kręgi. Wytwórczość w kraju wzmaga się z każdym rokiem, z każdym miesiącem, z każdym dniem niemal.

Jednym z ostatnich postojów tej ruchomej wystawy przemysłu krajowego, była Sucha. Urządzono wystawę w obszernej sali miejscowego „Sokoła“. Około prac przygotowawczych krzątał się też gorliwie komitet, w tym celu w Suchej zawiązany.

W wystawie wzięli udział przemysłowcy nietylko miejscowi ale i z okolicy a nawet z dalszych stron kraju. Dzięki dobrze zorganizowanej agitacyi, zainteresowanie ludności było bardzo znaczne i kilka tysięcy osób zwiedziło piękną i pouczającą wystawę, między tymi i dziatwa szkolna pod kierunkiem nauczycieli.



Smierć polskiego śpiewaka zagranicą: Bł. p. Wilhelm Schapira.

Krwawe zajścia w Rzymie.

W Rzymie, w samem centrum miasta, na placu Weneckim, wznosi się olbrzymi pałac, zajęty przez ambasadę austryacką, który od lat blisko pięćdziesięciu wywołuje sporadycznie burzliwe rozruchy.

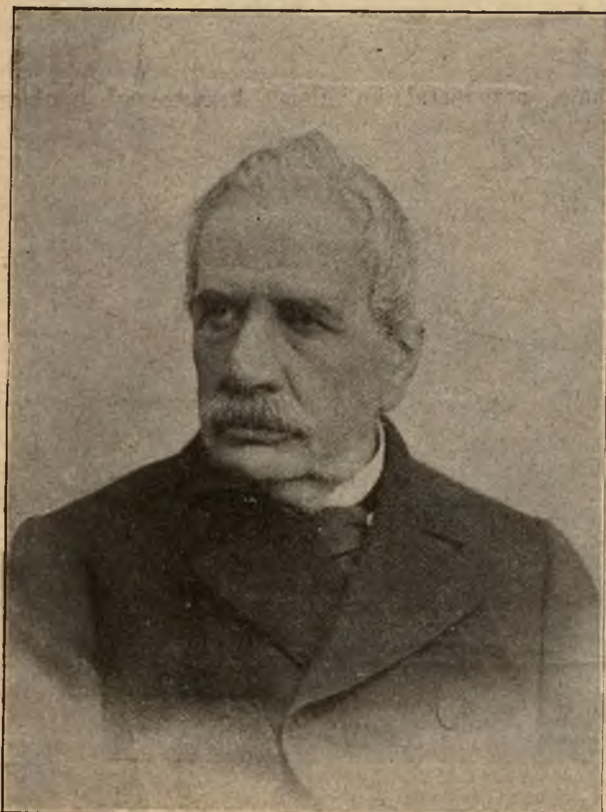
Ostatnie manifestacye, zakończone krwawo,—pociągnęły bowiem za sobą kilka ofiar w zabitych i rannych — rozegrały się na tem miejscu przed



Epilog skandalu: Kazimiera Domosławska.

kilku dniami z powodu pogrzebu pewnego murarza Premucci, który zmarł skutkiem wypadku przy pracy.

W odprowadzeniu zwłok na cmentarz wzięli udział w wielkiej liczbie jego koledzy, należący po większej części do partyj rewolucyjnych, którzy wbrew zwyczajowi orszak pogrzebowy skierowali na plac Wenecki. Tutaj zabiegła im drogę policya, pragnąc cały pochód zawrócić na boczne ulice. Powstał z tego powodu tumult i rozpoczęła się bójka, która jednakże zakończyłaby się wkrótce bez rozlewu krwi, gdyby nie błaha okoliczność, iż właśnie wtedy nadjechały dwa wozy, naładowane cegłami. Wzburzony tłum, korzystając z tej amunicyi, obrzucił cegłami policyę. Wtedy jeden z ajentów policyjnych dał strzał, po którym nastą-



Bolesne straty: Ś. p. Ludwik Górski.

piło jeszcze kilka innych, powodując śmierć i ciężkie rany kilku manifestantów. Cały ten krwawy dramat trwał zaledwie kilka minut, wystarczyły one jednak do wzburzenia całego miasta. Robotnicy ogłosili strejk generalny w Rzymie, z powodu którego najbardziej ucierpieli liczni podróżni, jacy przed świętami Wielkiej Nocy napływają zazwyczaj do wiecznego miasta.

Strejk ten trwał przez kilka dni i stał się powodem nowych, również bardzo burzliwych zajść, w czasie których policya i wojsko kilkarotnie użyły broni.

Epilog skandalu.

Głośna przed półtora rokiem sprawa małżeństwa artysty teatru Rozmaitości w Warszawie E. Gasińskiego z p. z Pepłowskich Zarembiną, po porzuceniu wieloletniej przyjaciółki p. Kazimiery Domosławskiej, była znowu przedmiotem rozprawy sądowej. P. Gasiński mianowicie zobowiązał się wypłacać opuszczonej matce swych dwojga dzieci 75 rubli miesięcznie i początkowo dość punktualnie zobowiązanie to wypełniał. Później jednak zaprzestał płacić i to spowodowało p. Domosławską, iż wystąpiła na drogę sądową.

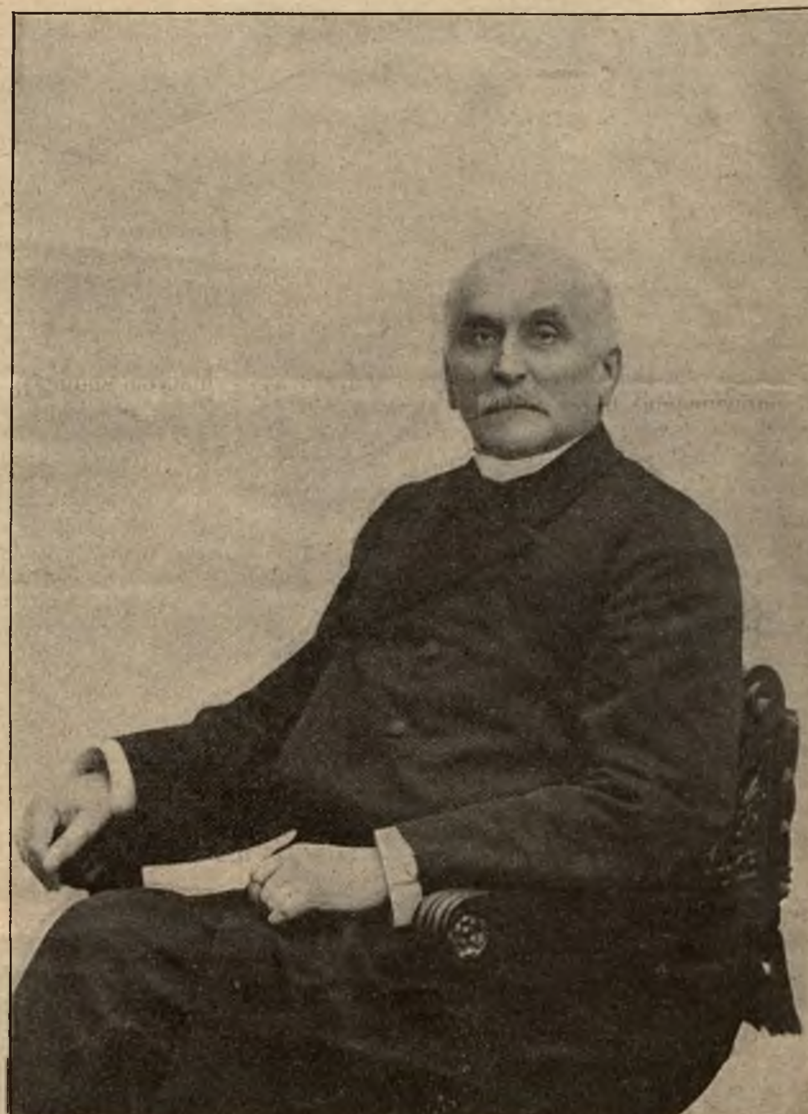
Po dwu rozprawach, które toczyły się przy drzwiach zamkniętych, został p. Gasiński zasądzony na płacenie p. Domosławskiej alimentów w kwocie 75 rb. miesięcznie, oraz na poniesienie kosztów sporu.

Miała tedy Warszawka znowu sensacyę, nietyle wesołą, ile pikantną, a takie rzeczy przecież ona najbardziej lubi. Ta sensacya też usunęła na kilka dni wszystkie inne sprawy w cień i stała się głównym przedmiotem dyskusyj i rozmów w kołach zwłaszcza płci pięknej, gdzie bohater afery, wesoły Gasiński, cieszył się za „kawalerskich“ czasów ogromnem powodzeniem.

Srogi zawód spotkał jednak najciekawszych wskutek tego, iż pikantna i pełna niewątpliwie interesujących momentów rozprawa sądowa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. To też łatwo sobie wyobrazić żal i rozgoryczenie tych, którzy na rozprawę się wybrali i z pod drzwi sali musieli wrócić do domu.

Pewnem zadośćuczynieniem dla nich była wiadomość o wyroku, ujemnym dla p. Gasińskiego Niejedna też z dawnych wielbicielek słynnego donżuana mogła w wyroku na „niewiernego“ dopatrzeć się kary i za swoje „krzywdy“.

* * *



Bolesne straty. Ś. p. Jan Tadeusz ks. Lubomirski.

Z okazyi sensacyjnego tego procesu, zamieszczamy dziś portrety bohaterów afery, p. Kazimiery Domosławskiej i p. Edmunda Gasińskiego.



Krwawe zajścia w Rzymie: Bójka demonstrującej ludności z policyą.

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

4 Ciąg dalszy.

V.

Orzeźwiony zupełnie chciał Schwerdtner opuścić salony i pójść do swego pokoju, ale znowu za portyerą usłyszał ten sam głos, tak bardzo mu pamiętny. Nie marzy, nie jest wpół senny, zatem to nie przywidzenie. I znowu odsuwa portyerę i spogląda, ale tym razem go spostrzeżono.

— Kto to jest ten młody człowiek? — zapytał Snovard barona, zobaczywszy Schwerdtnera.

— Doktor Schwerdtner, nauczyciel mojego syna — odpowiedział baron Proszę pana, panie doktorze, skorzystam ze sposobności, żeby pana przedstawić.

Wszyscy z lekceważącą grzecznością podawali końce palców przedstawionemu, a szczególnie Snovard zaledwie raczył od niechcenia spojrzeć na młodzieńca, który jest tylko guwernerem.

— A, to pan byłeś świadkiem owego morderstwa, które niedawno popełniono — odezwał się ktoś z towarzystwa.

Doktor skłonił głową na znak potakiwania, ale nie miał ochoty nic mówić, bo kipiało w nim oburzenie, pod wpływem przyjęcia, jakiego tu doznał...

— Nie miałem sposobności zapytać się dotąd, ktoto był właściwie pan Döbel — odezwał się zimno i od niechcenia Snovard.

— Jakto? przecież firma taka głośna, taka poważna.

— Tak. Nazwisko mi znane, ale osoby tego nieszczęśliwego nie miałem przyjemności poznać.

— Był to finansista bardzo poważny; bywał nawet moim gościem — mówił baron.

— Szczęśliwy kraj, w którym taki wypadek zdarza się wyjątkowo. My, Amerykanie, oswojeni jesteśmy z takiemi tragedyami. Ale to dziwne, że policya dotychczas nie wyśledziła zuchwałego mordercy. No — a teraz panowie wracam do przedmiotu naszej rozmowy. Akcye argentyńskie mają istotnie...

Wszyscy otoczyli Snovarda, na Schwerdtnera nikt nie zwracał uwagi, więc też wymknął się natychmiast i wrócił do pustego pokoju, w którym był przedtem. Dziwne przyniósł tu z sobą wrażenie. Zdawało mu się, że w głosie Snovarda były dźwięki, przypominające mu ów głos, który go przed chwilą tak niepokoił. Oczywiście albo złudzenie, albo tylko przypadkowe podobieństwo.

Nie znał rozkładu mieszkania na piętrze, bo po raz pierwszy w niem się znalazł, więc nie mógł trafić na schody. Przeszedłszy kilka pokoi, znalazł się nagle wśród zieleni wypełnionej galeryi, przylegającej do głównego salonu. Był to ogród zimowy, skromny, ale z wielkim smakiem urządzony. Stanął na chwilę i rzucił okiem na rozłożyste palmy, a wśród nich zobaczył baronównę. Chłodziła się wachlarzem, zamyślona, może nawet i smutna. Schwerdtner chciał się natychmiast usunąć, ale ona odezwała się z uśmiechem:

— Czy pana tak przerażają te palmy?

— Nie chciałem pani przeszkadzać.

— W czem?

— W samotności.

— Przeciwnie, przerwiesz pan tylko moje nudy.

— Zdawało mi się, że pani w salonie doskonale się bawiła.

— Pana to interesowało? — zapytała z wyniosłością.

— Jak wszystko, co nowe i nieznane.

— A, tak. Więc dotychczas mało się pan przypatrywałeś salonom?

— Nie miałem sposobności.

— Cóż pan sądzi o naszym salonie?

— Prawdy powiedzieć nie mogę, a kłamstwa nie umiem.

— A cóż pana powstrzymuje od wypowiedzenia prawdy?

— Wdzięczność i szacunek dla domu pań stwa.

— Wobec tego możnaby mniemać, że sąd pański bardzo nie pochlebny.

— Sądu nie wydaję, ale powiem szczerze, iż doznałem wrażenia bardzo przykrego.

— Aż tak dalece?

— Zdaje mi się, że do tej szczerości pani mnie zachęciła, mówiąc o znudzeniu. Co dla pani było nudne, dla mnie musiało być przykre. Jeżeli pani, do salonów przywykła, nudzi się pośród nich, to ja, człowiek wychowany nie w salonowej sferze, muszę w nich się męczyć.

— Mnie mogą nudzić ludzie, ale cóż pana umęczyło?

— Rozterka między wypiastowanym ideałem, a rzeczywistością...

— Ależ proszę mówić, bardzo proszę; to dla mnie bardzo zajmujące, ciekawe.

— Będę posłuszny życzeniu pani. Salon, to szczyt kultury, to wdzięk i harmonia, to połączenie bogactwa umysłowego i etycznego z wykwintną formą towarzyską. Salon, to jakaś doskonałość, przez cywilizacyę stworzona. Taki był mój ideał.

— A rzeczywistość co okazała?

— Pychę, wyniosłość, obłudę, targowisko osobistych ambicyj, czy korzyści, arenę zapasów, na której walczą, w maskach słodkiej uprzejmości: wszelakie chciwości i pożądliwości zysku.

— O, to surowy z pana satyryk. Oskarżenie ciężkie, więc na obronę zgodzić się pan musi. Nie sądź pan tak zawzięcie, bo widziałeś, co jest na powierzchni, a nie zajrzałeś do głębi. Nie jedno serce krwawi się, choć śmieją się usta. Może to, co panu obłudą się wydało, jest ciężką ofiarą dla spełnienia obowiązku. Idealista z pana; życie niejednego nauczy, do niejednego zmusza. Gdyby to można stargać, nawet zdeptać te więzy, które świat nakłada, gdyby się można wyzwolić z pod tego kodeksu towarzyskiego, który często staje się tyranem... Niech pan wpierw bada, niech pan poznaje, nauczy się rozumieć, domyślać, może przeczuwać, a wtedy inaczej sąd wypadnie.

Powiedziała to poważnie, z odcieniem żalu, poniekąd z rozrzewnieniem. I była wtedy inną, niż śród tłumu wielbicieli. Schwerdtnerowi wydała się księżniczką z bajki, jeszcze może bardziej uroczą, niż tamta. Żałował tego pessymizmu, którym go Rümmel przepełnił, żałował słów, może niebacznych, może nawet niesprawiedliwych. Chciał złe naprawić, chciał się usprawiedliwiać, przepraszać. Nie mógł dobrać słów, zakłopotany był, onieśmielony. Baronówna, wsparta o palmę, stała posągowa, zapatrzona w dal, jakby poza mury tego pałacu, jakby poza krańce nieba.

Wreszcie pokonał Schwerdtner niezadowolenie z samego siebie. Nasunęło mu się na myśl, dlaczego owego tyrana kodeksu towarzyskiego nie usuną ci, co tyraństwo jego uczuwają. Czyż nie mogą stworzyć innego kodeksu? Myśl bierze przewagę nad uczuciem u młodego doktora, nawyknienie do rozumowania porywa, więc rzekł z zacięciem polemicznem:

— A któż stworzył i nacisnął te więzy? Powiedziała pani, że uczynił to świat. Któż to ten świat, czy co to takiego? Wszakże to chyba sami ludzie ukuli je sobie i zerwać ich nie mają odwagi.

— Nie mają siły.

— Jakto? Więc ci, co mają tworzyć czoło społeczeństwa, jego wybór, jego chlubę i siłę moralną, są tak bezsilni?

— Trudna z panem dysputa; pan nie rozumie, nie pojmuje. Ci ludzie, których pan widziałeś, potrzebują się wzajemnie, uzupełniają się, łączą i tem właśnie coś znaczą, czemś są, czemś być mogą. Bez tego byłyby to jednostki rozbite, idące samopas, tonące w tłumie warstw innych.

— Silna jednostka nie tonie.

— A cóż daje siły jednostce, jeżeli nie oparcie się o inne, jeżeli nie popieranie się ich wzajemne?

— Siłę daje człowiekowi jego wartość wewnętrzna, jego charakter, jego praca i zasługa.

— Ileż to takich przepada w zapasach życia.

— Bywają i tacy, ale chociażby pożarły ich przeciwności życia, zostanie po nich posiew ich pracy, plon ich zasługi. Dzielny charakter, uczciwy, jest większem bogactwem społeczeństwa, niż miliony w ręce niegodziwca, a bodaj tylko samoluba.

— Królowa zebrania tu się schroniła, a ja szukam po wszystkich salonach, aby hołd złożyć— odezwał się nagle głos szorstki, lodowaty.

Schwerdtner drgnął. Znowu ten głos, przypominający mordercę Döbla, a to Snovard przemówił i zbliżył się do baronówny, nie uważając za stosowne nawet spojrzeć na Schwerdtnera.

— Pani raczy pozwolić, abym towarzyszył do kolacyi; właśnie ją podają — mówił dalej Snovard.

— Proszę pana — odpowiedziała baronówna i z uśmiechem zadowolenia podała mu rękę — skinąwszy od niechcenia głową, na pożegnanie doktorowi.

On stał dziwnie wzruszony. Taż sama baronówna, co przed chwilą tak poważnie, tak rzewnie była nastrojona, nagle uśmiecha się kokieteryjnie i swobodna, zadowolona podaje rękę bankierowi. Czy udawała tylko zadowolenie? czy ofiarę czyniła z siebie? czy to także wynik tyraństwa kodeksu towarzyskiego? Snuło się w głowie doktora takie pasmo myśli, a przeplatało je echo głosu Snovarda, co niekiedy, niektórymi wyrazami mordercę Döbla przypominał. Już nie z wyobraźni i pamięci, ale jakoś z serca dobywały się wspomnienia świetlane zaczarowanej księżniczki i uroczej dziewczynki, jadącej lasem z baronową.

— Ej, dość tego. Za wiele na pierwszy raz, powiedział sobie Schwerdtner i poszedł wreszcie na spoczynek do swego pokoju.

Zaledwie Snovard zjawił się z baronówną w salonie, przydeptał ku niemu krzywonogi bankier i zaczął bez ceremonii:

— A, doskonale panie Snovard, że pana zobaczyłem. Powziąłem wyborną myśl w sprawie akcyj argentyńskich. Zdaje mi się, że byłoby...

— To bardzo interesujące, ale nie w tej chwili — przerwał Snovard. Wszakże pan widzisz, że rozmawiam z panną baronówną. Możesz pan jutro przyjść do mego biura.

Mówił to zimo, spokojnie, nie patrząc nawet na krzywonogiego bankiera. Ten stał oniemiały, nie mogąc zrozumieć, żeby rozmowa z kobietą mogła być dla Snovarda ważniejszą, czy milszą, niż dyskusya o finansach.

Snovard z baronówną Elwirą weszli pod rękę do sali jadalnej. Gdy baron to zobaczył, uśmiechnął się, pełen zadowolenia. Wszakże przed chwilą marzył tylko o tem, aby się to stało, biedził się tylko nad tem, jakby to zrobić, bez narażenia swej powagi. Jaka domyślna córka. Tak mu potrzeba względów Snovarda, jego poparcia finansowego! Serce ojcowskie barona biło silnie z radości; dumny był z przenikliwości kobiecej swej córki.

Snovard umiał być uprzejmym sąsiadem przy stole, nawet bardzo interesującym. Nie nudził Elwiry płytkimi frazesami, które, jakby z jakiej encyklopedyi, powtarzać zwykli bezmyślnie tuzinkowi salonowcy. Potrącał w rozmowie o sztukę, o literaturę, o sprawy publiczne, o Amerykę; mówił o wszystkiem i o niczem. Mówił chłodno, pobieżnie, od niechcenia jak człowiek, co wiele wie i widział, ale się tem nie przechwala, bo wszystko to dlań obojętne, drobiazgowe. Zręczny był w rozmowie z Elwirą, więc go słuchała z prawdziwem zajęciem.

Zwróciło to uwagę towarzystwa.

— Mister Snovard umiał zainteresować baronównę — szepnęła hrabina Gyppen sąsiadowi, księciu Ballen — i uśmiechnęła się ironicznie.

— Pani sądzi, że to zasługa Snovarda?

— Sądzę, że jego milionów.

— A... dodam, że baronówna umie być cierpliwą, czy wyrozumiałą dla... złotego cielca.

Szeptali złośliwie. Nic dziwnego. Hrabina Gyppen, wdowa, miała nadzieję, że Snovard oświadczy się o jej rękę; jakoś zanosiło się już na to, ale tytuł hrabiny bardzo świeży, coś z początku panowania Wilhelma II., a Snovard chciał swe miliony połączyć ze starym tytułem, sięgającym w owe czasy, gdy tworzyła się prawdziwa, rycerska arystokracya. Książe Ballen miał również powód niezadowolenia. Ubiegał się o rękę baronównej, ale dostał kosza. Baronówna miała go za głupca, baron zaś nie mógł zapomnieć, że dziadek księcia był kamerdynerem u dworu królewskiego, a ojciec otrzymał tytuł książęcy od monarchy, który z równym zapałem rozdaje tytuły i ordery, jak pisuje listy do ministrów państw obcych i wygłasza mowy, a nawet kazania. Dla barona, dwudziestego drugiego z rzędu potomka sławnego z wojen krzyżowych Ellericha, był książe Ballen tylko... parweniuszem. Snovard posiada miliony, a te lepsze od tytułu gołego wnuka kamerdynera.

Ale byli jeszcze inni, co zazdrośnie, lub złośliwie spoglądali na Snovarda i Elwirę, bo to zbliżenie się króla giełdy do córki barona, zbliżenie się takie znaczące, czy zaznaczone przez nich samych, wywracało plany, rozpraszało marzenia, odbierało nadzieję czcicielom złotego cielca.

Rümmel uśmiechał się i dowcipkował z sąsiadem, czytając w twarzach biesiadników to, co im w głębi duszy pisała zazdrość.

W ciągu rozmowy z Elwirą, spojrzał Snovard na towarzystwo przy stole, jakby kogoś szukał.

— Nie widzę tu młodego człowieka, który z panią rozmawiał przy palmie.

— Czy pan się nim interesuje?

— Wcale nie, tylko mnie zuchwałość jego zdziwiła.

— Zuchwałość?

— Muszę tem słowem napiętnować jego postępowanie wobec pani.

— Na zuchwalstwo nie mógłby się ośmielić; zapewne pan przypuszcza, żebym na to nie zezwoliła — odpowiedziała Elwira z godnością.

— A jednak ośmielił się narzucić pani do towarzystwa.

— Należy do naszych domowników, jest nauczycielem mego brata. Bardzo stateczny, przyzwoity, pełen wiedzy...

— Sądziłem, że dla takiego człowieka właściwe miejsce przy uczniu, gdzie mu ta wiedza potrzebna, bo za nią mu płacą.

— A, pan nie bardzo ceni ludzi biednych.

— Bardzo ich żałuję, ale istotnie cenię tych, co energią, siłą woli, potęgą rozumu umieli stanąć ponad tłumem.

— Tacy wznoszą się ponad tłum sławą swego talentu, swej pracy.

— To tylko wyjątkowe geniusze, których sława trwać może przez wieki, ale cała ta szara rzesza uczonych musi ustępować przed tymi, co mają siłę panowania nad ludźmi, a tę daje nie uczoność teoretyczna, tylko praktyczna, bezwzględna energia, wiodąca do zdobycia majątku. Kto go zdobyć umiał, a użył na wzbogacenie kraju, na rozwój życia ekonomicznego, zasłużył bardziej na pierwszy stopień w hierarchii towarzyskiej, niż ten, co napisał kilka książek, bez których świat mógł się obejść. Epoka idealizmu minęła bezpowrotnie, nastała inna, epoka siły materyalnej.

Snovard mówił jeszcze, a wciąż chłodno, spokojnie, niemal obojętnie. Elwira słuchała, ale w jej duszy odzywały się inne głosy. Były to echa tego, co słyszała z ust Schwerdtnera. Rzucona wcześnie w wir salonowego życia, sierota bez matki, pozostawiona samej sobie, szła przez życie bez steru. Ociec wpływu matki zastąpić i nie umiał i nie miał na to czasu. W tej sferze towarzyskiej, do której należała, spotykała ludzi płytkich, tuzinkowych, na jedną modłę ulepionych. Nudziła się do przesytu wypłowiałymi frazesami, pochlebstwem, którem ją zagłuszano. Pragnęła spotkać ludzi odmiennych. Spotkała Schwerdtnera. Istotnie, to jakiś inny, jakiś silniejszy, jakiś zajmujący. Ale to tylko nauczyciel do mowy, pochodzący z ludu, więc z wysokości swego stanowiska mogła go słuchać, ale tylko słuchać, a to jeszcze nie wszystko. Snovard wydał się Elwirze także odmiennym od innych, lepszym, bardziej męskim, dzielnym. Jego może nietylko słuchać, ale i korzystać z jego towarzystwa, krzepić się w niem, szukać w niem zadowolenia i przyjemności. Król giełdy, ma stanowisko dla niej odpowiednie.

Z tych refleksyj wyłonił się nagle obraz Schwerdtnera, piękny jakiś, a koło niego szumiały dźwięki łagodne, a koło niego lśniły blaski tęczowe. Doznała miłego wrażenia.

— Kochać ludzi przyjemnie, ale przyjemniej panować nad nimi — kończył Snovard.

Uleciały blaski tęczowe, ucichły szumy łagodnych dźwięków, znikł obraz Schwerdtnera. Otoczył Elwirę blask lamp elektrycznych, zahuczał jej szalony takt walca, rozsypały się przed oczyma brylanty, widziała obraz tłumu, pochylającego przed nią głowy, a przy niej był Snovard, olbrzym, posąg.

Wstano od stołu. Dwa widzenia kłócą się w duszy i w sercu Elwiry. Wsparta na ramieniu Snovarda, weszła do salonu uśmiechnięta. Czy do ludzi się uśmiechała, czy do widziadeł?

VI.

Na jednej z ulic, zbudowano przed dwoma laty wspaniały pałac, przeznaczony na „Excelsior-Restaurant". Prusy na czele Niemiec, Niemcy na czele Europy, Europa na czele świata, a więc Berlin powinien być stolicą świata. Skoro tak, więc też trzeba w nim okazałości, przepychu, zbytku, jakiego świat nie widział; Berlin musi wznieść się ponad Londyn, Paryż, nie mówiąc już o Wiedniu, albo Petersburgu. Ta gorączka wielkości, próżności, ogarnia, pochłania, buduje, ale i niszczy. Ona też zbudowała pałac na „Excelsior Restaurant".

Budynek olbrzymi, urządzony był z przepychem, zbytkiem, jakiego istotnie ani w Paryżu, ani w Londynie nie spotkać. Atoli po roku poszło przedsiębiorstwo na marne, skończyło się bankructwem. Wierzyciele zabrali, co się zabrać dało, a budynek przerobiono. Na dole powstały sklepy, wyższe piętra przekształcono na mieszkania, a pierwsze zajął Mister Ralf Snovard, milioner amerykański i tu sobie urządził mieszkanie i biura.

W salach, gdzie przed kilku miesiącami kipiały szampany biesiadne, pracuje bank króla giełdy, prawdziwego czarodzieja, co deszczem złota zalewa Prusy. Przy kilkunastu stolikach skrzypią pióra tuzina urzędników bankowych, korespondentów, buchalterów. Na wspaniale tapetowanych ścianach, w miejsce zwierciadeł i obrazów, porozwieszane mapy kolejowe, wykazy kursów wszelkich giełd całego świata, plany kopalń, rysunki projektów fabrycznych budowli. Amorki gipsowe, złocone, co dawniej restauracyjne zwierciadła otulały skrzydłami, karyatydy, co je podtrzymywały, teraz na ścianach tkwią w pustej przestrzeni, jakby skamieniałe z osłupienia, że tak nagle wszystko się zmieniło.



Schwerdtner drgnął na dźwięk tego głosu.

Dwie sale, jedna za drugą, tworzą biura bankowe, a poza niemi poczekalnia, niby salon, wypełniona kosztownemi meblami, wyłożona olbrzymim dywanem. Poza nią pracownia Snovarda i kasy. Osobne wejście do poczekalni, po marmurowych wschodach, pokrytych pluszowym deptakiem.

W poczekalni tłok ludzi wszelkiego rodzaju. Złociste mundury wysokiej rangi oficerów, eleganckie, według pierwszej mody skrojone ubrania panów i paniczów. Szumiące jedwabie strojnych dam wielkiego świata, a może i półświatka; wytarte surduty biedaków, spłowiałe sukienki nieszczęśliwych wdów i sierot. Wszystko to skupia się, czeka, ciśnie, aby swą dolę powierzyć czarodziejowi amerykańskiemu.

Bogaci chcą rzucić kapitały, aby z nich podwójny, może potrójny mieć procent. Biedni powierzają oszczędności, kosztem głodu zebrane, aby z nich większy mieć dochód. Wdowa niesie tu swój kapitalik, boć większy dostanie procent, niż gdzieindziej, a jej tego potrzeba. W domu siedmioro dzieci nakarmić, przyodziać. Biedny robotnik oszczędzał całe życie, od ust sobie ujmował i zebrał jakiś tysiąc marek. Przyszedł z niemi, bo mu tu świta nadzieja, że je pomnoży.

Dzienniki cuda piszą o wszechmocy Snovarda. Dobywa złoto w południowej Ameryce, podwaja kapitały przez pożyczkę Argentyny, stwarza fabryki, dające milionowe zyski, buduje koleje, z których miliony wpłyną do kieszeni akcyonaryuszy. Dzienniki piszą, jakże nie wierzyć; korzyści takie, jakże ich nie pragnąć, nie szukać? Więc tłoczą się ludzie i wierzą i grosz ostatni znoszą, a odchodzą szczęśliwi, rozmarzeni o tym bankierze, co światem trzęsie.

Ileby to modeli do ciekawych szkiców znalazł tu malarz? ile studyów mógłby dokonać psycholog? Cześć dla złotego cielca epidemicznie zapanowała w kraju, w którym zamarły wszelkie ideały inne, gdy zapanowało hasło: „siła to treść i cel życia". Jest siła bagnetów, jest siła bezczelności, jest siła pięści, trzeba siły złota.

Każdy z tłumu chciałby ujrzeć tego nowego Mojżesza, co laską dobywa ze skał już nie wodę, ale złoto. Więc bodaj na kilka sekund doprasza się wejścia, audyencyi. Wygalowany służący protekcyonalnie wpuszcza błagających, dając pierwszeństwo mundurom, strojnym paniom i leganckim panom. Szwaczki czekają godzinami na to szczęście, aby zobaczyć majestat giełdy, złotego cielca. Śród tłumu był i krzywonogi bankier. a wnet po nim przybył też baron Ellerich.

Temu już nie długo czekać wypadło. Wszedł, ot tak niby, po drodze, na kilka minut. Pomówił coś o sprawach banku, w którym był prezesem rady nadzorczej, zaczepił od niechcenia, z manierą wielkiego pana, o hipoteczną pożyczkę, a wreszcie zaprosił bankiera na herbatę, w kółku ściśle familijnem.

Baron wyszedł, a jeszcze spora gromada czekała. Niestety! wybiła godzina czwarta, o której audyencye się kończą. Służący musiał wysilać się na tłomaczenia, pocieszania, aby czekającej go gromady pozbyć się czemprędzej. Czynił to z wielką powagą, a nic dziwnego, boć to przecież wysłużony kapral z pułku gwardyi królewskiej. Umiał przekonywać, bo stanowczym był i groźnie na te tłumy spozierał. Już mu się udało pozbyć zawiedzionych w oczekiwaniu; każdy z nich obiecywał sobie odchodząc, że nazajutrz przyjdzie jak najwcześniej, aby z początkiem audyencyi dostać się przed oblicze tego, który skarby ludziom rozdziela. Już miał drzwi zamknąć, gdy oto we framudze okna spostrzegł jakiegoś człowieka.

Dziwaczny to był człeczyna. W poplamionem, wytartem ubraniu, wyglądał na nędzarza. Kołnierz od surduta podniesiony do góry, okrywał gołą szyję, na której nie było kołnierzyka od koszuli i krawatki. Twarz niewyraźna, ni młoda, ni stara, bez zarostu. Cera ciemna, włosy kręcone, jak u murzyna. Tylko postawę miał prostą, śmiałą, nawet wyzywającą.

— Po co tu? — zapytał służący lekceważąco i groźnie.

— Chcę mówić z panem Snovardem — odpowiedział zapytany śmiało, poniekąd rozkazująco.

Były kapral gwardyi królewskiej aż się cofnął z oburzenia, że taki nędzarz ośmiela się przemawiać tonem wielkiego pana.

— Teraz niewolno — zawołał rozdrażniony służący.

— Ja muszę natychmiast widzieć się z panem Snovardem — rzekł ponownie obdartus.

— Powiadam raz jeszcze, że teraz niewolno — zawołał służący.

— Czekałem trzy godziny cierpliwie po to, aby wejść na ostatku, bo muszę dłużej zabawić. Teraz nie odejdę; rzecz pilna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

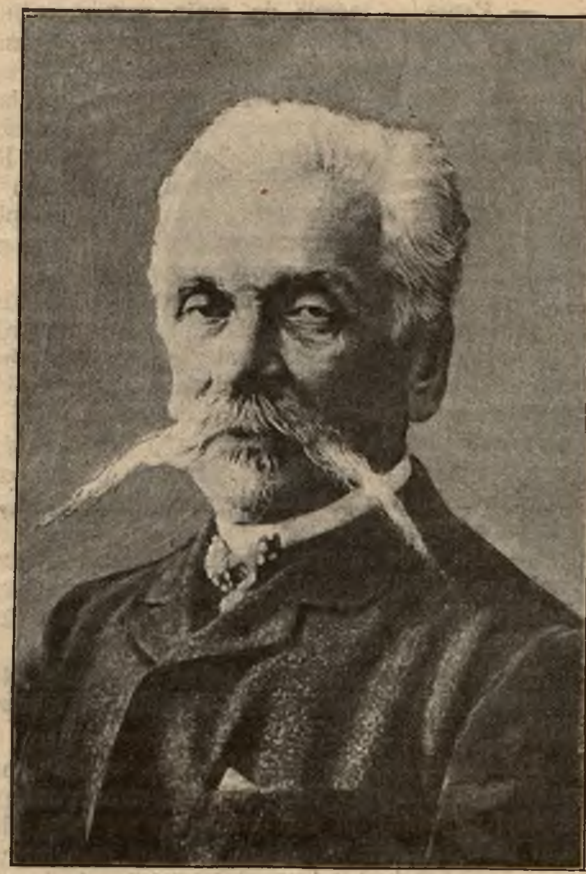
Śmierć pod wrażeniem morderstwa.

Wiadomość o niecnem morderstwie, popełnionem na osobie namiestnika Galicyi, hr. Potockim podziałała tak silnie na całe społeczeństwo, iż pod jego wrażeniem kilka wybitniejszych osób poważnie zaniemogło. Najsilniejsze wrażenie wywarła ta hiobowa wieść na byłym dyrektorze galicyjskiej Kasy Oszczędności, Antymie Nikorowiczu, który tak odczuł ten mord, iż po otrzymaniu o nim te-



Śmierć pod wrażeniem morderstwa: Ś. p. Antym Nikorowicz, b. dyrektor Kasy Oszczędności we Lwowie.

legramu w Zakopanem, gdzie bawił, padł nagle martwy, rażony apopleksyą. W życiu publicznem Lwowa ś. p. Nikorowicz brał żywy udział, zdobywając sobie u jego mieszkańców działalnością swą wielkie poważanie i wdzięczność. Stojąc przez lat ośm na czele największej galicyjskiej instytucyi finansowej, położył wielkie zasługi przez podniesienie do stanu rozkwitu Kasy Oszczędności, która po niedawnym krachu, wywołanym przez poprzedniego dyrektora Zimę, znajdowała się w najzupełniejszej dezorganizacyi i najkompletniejszym



Bolesne straty: Mieczysław ks. Woroniecki.

upadku. Gdy w roku zeszłym ustępował z zajmowanego stanowiska, wielki wydział Kasy z żalem tylko przyjął jego rezygnacyę, wyrażając mu gorące uznanie za zasługi, położone tak dla instytucyi, jak i społeczeństwa.

Wiadomość o tym nagłym zgonie, spowodowanym przez hajdamackie morderstwo, okryła smutkiem wszystkich znajomych nieboszczyka.

Napad na żony posłów.

Przed kilku dniami niezwykłego zamachu dokonano na żony posłów austryackiego i rosyjskiego w Teheranie. Gdy obie panie powracały późno wieczorem z wizyty do domu bez męskiego towarzystwa, rozległ się nagle strzał, który dał jeden z żołnierzy patrolu do powozu, zajętego przez żony obydwu ambasadorów. Panie, które nie tylko nie odniosły najmniejszego szwanku, ale nawet nie przeraziły się tym zamachem, kazały natychmiast wstrzymać pojazd, żona zaś ambasadora austryackiego, p. Rotthornowa wyskoczyła z powozu, podbiegła do żołnierza i odebrała mu broń, poczem dopiero odjechała. Żołnierz, chcąc odzyskać karabin, pobiegł za niemi, został jednak wstrzymany i aresztowany. Odwaga pani Rotthornowej, której obecnie złożyła nowy dowód, znaną już jest powszechnie z czasów głośnego po-



Napad na żony posłów: Żona posła austryackiego w Teheranie, p. Rotthornowa.

wstania bokserów w Chinach. Wówczas na równi z żołnierzami wznosiła ona w Pekinie barykady, dzielnie ostrzeliwując się napadającym tłumom, aż wreszcie objęta płomieniami musiała zejść z dobrowolnie zajmowanego posterunku. W uznaniu tych zasług otrzymała wówczas dzielna kobieta wiele odznak zaszczytnych od panujących.



Konkurs piękności: Uznana za najpiękniejszą kobietę, angielka miss X.



Zamordowanie Namiestnika we Lwowie: Miejsce zbrodni. Sala audyencyonalna w namiestnictwie.

Od Redakcyi.

Wszystkim naszym Prenumeratorom, Czytelnikom i Korespondentom przesyłamy tą drogą serdeczne życzenia

„Wesołych Świąt!“

Redakcya.

Kronika tygodniowa.

(Szowinistyczna bomba wiedeńska. — Odpowiedź dyrektora Solskiego. — Bierz was licho! — Ołów w nogach pana radcy i »jakaś« tęsknota p. adjunkta. — Notatki wielkotygodniowe.— Życzenia).

Z powodu jubileuszu cesarza austryackiego, dyrekcya wiedeńskiego teatru „an der Wien“ postanowiła urządzić szereg słowiańskich przedstawień i umówiła się już w tym celu z teatrem czeskim w Pradze i teatrem krakowskim. Ale nagle szowiniści wiedeńscy, pilnujący jak oka w głowie nieskalanej niemieckości miasta Wiednia, postanowili za wszelką cenę przeszkodzić temu „najazdowi słowiańskiemu“. Podnieśli tę sprawę w radzie miejskiej, a mianowicie pragermanin, radca miejski Weisswasser zapytał burmistrza dra Luegera, czy mu wiadomo, jakie niebezpieczeństwo grozi Wiedniowi i co zamyśla uczynić dla ochrony miasta. Burmistrz odpowiedział, że sam z mocy urzędu swojego nic nie może w tej sprawie zdziałać, że jednakże przedłoży ją namiestnictwu i... policyi. Tymczasem dyrektor teatru czeskiego przybył z Pragi do Wiednia, ażeby się porozumieć z władzami. Policya odpowiedziała mu tak, jak musiała, to jest, że nie zabrania przedstawień teatralnych czeskich w Wiedniu i że wystąpi przeciwko demonstracyom anticzeskim. A więc policya wiedeńska przewiduje demonstracye, a reszty powinien się dorozumieć dyrektor teatru czeskiego. Był to „*Wink mit einem Zaunpfahl*“ — wskazówka za pomocą drąga. Dyrektor teatru krakowskiego pan Solski postąpił tak, jak mu nakazywała godność sztuki polskiej. Nie wdawał się w pertraktacye z policyą wiedeńską, tylko odpisał dyrekcyi teatru „an der Wien“, że rezygnuje z jej gościnności. A szowiniści w Wiedniu i poza Wiedniem gardłowali dalej przeciwko „najazdowi słowiańskiemu“ i pozyskali nawet poklask ze strony niemieckiego ministra-rodaka Peschki.

A więc szowiniści niemieccy nie chcą słowiańskich przedstawień teatralnych w Wiedniu z okazyi jubileuszu cesarza. Nawet ekscelencya pan minister Peschka pragnąłby z Wiednia wypędzić wszystkich Słowian, nie bacząc na to. że przecież podczas jubileuszu swojego cesarz jest gospodarzem w Wiedniu. Trochę taktu przydałoby się ekscelencyi. Ale niech licho weźmie wszystkich stróżów nieskalanej niemieckości Wiednia! Nic nam nie zależy na nich, dla zasady jednakże pozwolimy sobie, albo niechaj nam oni pozwolą na jedną uwagę: Wiedeń jest stolicą państwa austryackiego. Prawda? A skoro tak jest, to w takim razie każdy obywatel państwa ma prawo rozbijać tam namioty z wszystkiemi dziewięcioma Muzami. A że obywatele państwa austryackiego są wedle wyrażenia urzędowego „wielojęzyczni“, to już nie wina ani Polaków, ani Czechów, ani innych Słowian. Zwłaszcza Polaków. My się do was nigdy nie garnęli, panowie Niemcy.

Rezygnujemy z rozbijania namiotów w Wiedniu i powiadamy: „Bierz was licho!“ Ale pozwolicie jeszcze tan jedną nie uwagę, ale propozycyę. Nie chcecie nas w Wiedniu, to zabierzcie sobie z Krakowa wasze kapelusze i kamaszki, wasze fraki i „okryjbiedy“, waszych „*reisenderów*“ i wasze szansonistki, wasze „tingle“ i „damenkapele“. Zabierzcie sobie te wszystkie rzeczy i te wszystkie godne osoby. Bierz was licho! A zaś dla naszych rozmaitych panów i paniczów wypływa stąd nauka czy przestroga, ażeby nie jeździli co chwila do Wiednia. Ręczę, że w Krakowie jest conajmniej pięć razy większa liczba facetów, którzy znają Wiedeń, niż takich, którzy znają Warszawę. To jest, jakże to powiedzieć, no — niech będzie: nieładnie.

Pomówmy o wiośnie. Powiadasz czytelniku, że nie można mówić o czemś, czego niema. Uspokój się. Wiosna idzie, powoli wprawdzie, ale idzie. Ukrywa się jeszcze tam gdzieś na południu za Tatrami, ale niech tylko wychyli swoją twarz jasną, a wnet zabije tętno życia na plantach i w parku Krakowskim, i w parku Jordana. A tymczasem czekamy z upragnieniem na tę czarodziejkę.

— Panie — mówił do mnie pewien adjunkt sądowy. Panie, kiedy się zbliża wiosna, uczuwam jakiś dziwny popęd do wędrowania, do włóczęgostwa poprostu i gdyby w takiej chwili stanął przedemną w biurze włóczęga nałogowy, możebym go uwolnił od kary Gdy niedawno zawitał do Krakowa prawdziwie wiosenny poranek, wahałem się, czy mam iść do biura, czy wałęsać się po plantach. Może to atawistyczny popęd po naszych praojcach, który wiedli żywot koczowniczy.

— Nie porywam się na rozwiązanie takiego zagadnienia — odparłem. Mogę tylko stwierdzić i na mocy własnego doświadczenia z lat młodocianych i na podstawie opowiadań nauczycieli, że na wiosnę uczniowie wszystkich szkół częściej „opuszczają“ szkołę, niż w zimie, a podobno częściej nawet, niż w lecie. Rzecz zupełnie prosta: człowiek uwolniony z powijaków zimowych, zrywa się jak ptak do lotu.

— Ale mnie porywa tęsknota jakaś — krzyknął pan adjunkt. Sądzisz pan, żem zakochany? Wcale nie, a mimo to ogarnia mnie taka tęsknota, że biuro staje się dla mnie więzieniem.

— Błogosław pan tę „jakąś“ tęsknotę, która dowodzi, że nie należysz do pospolitych zjadaczy chleba.

Pożegnaliśmy się na plantach w tyle poza gmachem sądowym. Pan adjunkt stromą szkarpą podążył do biura, ja zaś powlokłem się dalej plantami ku Zamkowi. Niedługo szedłem sam, przyłączył się do mnie bowiem właściciel kamienicy, już niestety sprzedanej, zwany powszechnie radcą, chociaż nigdy nim nie był.

— Och ta wiosna — stęknął pan radca.

— Radca na stopie wojennej z wiosenką?

— Kości jakby nalane ołowiem — skarżył się radca. Reumatyzm, który w zimie tylko strzykał, teraz drze, rwie, szarpie, że „człowiek“ spokojnie spać nie może, a w karty gra jak nieprzytomny. Oczywiście wilgoć dobywa się z ziemi roztajałej i w kości idzie.

— Ba — inni mówią przeciwnie, że na wiosnę idzie im wilgoć z kości.

— Inni — odrzekł radca melancholijnie. I ja należałem niegdyś do tych „innych“, którzy za lat kilkanaście będą jęczeć na wiosnę tak, jak ja dzisiaj. A pan z kośćmi w porządku?

— Więcej niż z wierzycielami — odparłem, ażeby coś odpowiedzieć.

— A to pan szczęśliwy człowiek. Wierzyciela można się pozbyć obietnicą chociażby na krótki czas, ale reumatyzm to uporczywy i natrętny pan. Przypomina się ciągle, ale najsilniej dokucza na wiosnę.

Jakby na potwierdzenie tych słów syknął pan radca i stanął na chwilę. Skorzystałem z tej sposobności i pożegnałem go.

Ażeby kronika niniejsza była aktualną, wspomnieć muszę o świętach wielkanocnych, a właściwie o wielkim tygodniu. Nie będę się rozpisywać, tylko podam do publicznej wiadomości to, co sobie zanotowałem w moim kalendarzyku kieszonkowym, nie zmieniając nawet stylu telegraficznego:

Poniedziałek: Przy kawie porannej oświadczyła mi żona, że musi mieć na opędzenie świąt conajmniej 60 koron. Żony bez brauningów i bez wołania: „Ręce w górę!“ wypróżniają portmonetki mężowskie. Położyłem na stole 40 koron, oświadczając, że resztę dam nazajutrz, gdy otrzymam w biurze zaliczkę. „Dobrze, niech i tak będzie — odpowiedziała żona — ale szynki i wędliny sam kupisz“. Dotąd kupowałem tylko wino, piwo i wódkę, tego roku przybyły szynki i kiełbasy. Co będzie na rok przyszły? Ktoby o tem myślał.

Wtorek: Dodaję 20 koron wedle wczorajszego żądania żony. „Czy to kpiny?“ — zapytuje żona. „Nie, to 20 koron“ — odpowiadam. O Boże — zaiste prawdą jest, że milczenie to złoto. „Tego się doczekałam — zawołała żona. Inni mężowie dają 500 koron na święta, a ty rzucasz mi dziesiątkę jak jałmużnę. U moich rodziców służba miała lepsze święcone, niż ja na twojem gospodarstwie“. Milczałem, sądząc, że burza w ten sposób rychlej przeminie, ale zawiodłem się. To właśnie rozpętało całą złość mojej żony. „Milczysz — wołała — ale u Hawełki to masz wymowę jak Kserkses!“ Poprawiłem półgłosem: „Może Demostenes“. Żona zatrzymała się przedemną i krzyczała: „Co mi tam Demostenes! Taki dureń jak i ty“. A potem nagle rzuciła się na kanapę i zaczęła płakać. „O Boże! — jęczała. Ukończyłam pensyonat z najwyższą nagrodą, a teraz on mi oczy wykłuwa Demostenesem“. I równie nagle starła łzy, przyskoczyła do mnie i krzyknęła: „To przy tobie tak zgłupiałam przez troski i zmartwienia! Tyranie! Jedz sobie serdelki na święta, nic mnie to nie obchodzi. Ja z dziećmi idę do rodziców!“ Zostawiłem 20 koron na stole i czem prędzej wyniosłem się do biura. W godzinę później przynosi mi służąca list od żony. „Kochany Staruszku! — pisze żona, tytułując mnie tak, chociaż mam dopiero 40 lat. Jeszcze tylko dopożycz 30 koron, a to wystarczy z pewnością. Mama przysłała szynkę, a ciotka obiecała indyka. Zawsze mówiłam, że ciotka jest bajczarka, ale ma dobre serce“. Wymęczyłem na szefie jeszcze 30 koron zaliczki i wręczyłem je Kasi.

Środa: Ścisły post. Tort hiszpański czy chiński spalił się. Kasia w kuchni płacze, powtarzając od czasu do czasu: „Abo ja nie mówiłam, nie palić tyla? Abo to nie wiadomo, że nasza rura „przychyci“ zaraz, jak żelazko?“ Żona w pokoju leży na kanapie, chora na ból głowy i odpowiada Kasi głosem złamanym: „A mówiłam, pilnuj tortu, ale Kasi w głowie stawanie w bramie, a nie obowiązek“. Smarzę na spirytusie jajecznicę.

Czwartek: Wielkie sprzątanie, trzepanie, wietrzenie, mycie. Kasia biega z trzepaczką jak szalona. W obawie, ażeby się nie zabrała do trzepania moich pleców, uciekam z domu.

Piątek: Objad cienki, jak sopran podlotka. Wieczorem żona powiada do mnie: „Słuchaj Staruszku, my tam na kolacyę zadowolimy się chlebem z masłem i herbatą, a ty już lepiej idź do Hawełki. Mam jeszcze dużo do roboty, tobyś nam przeszkadzał“. Myślę sobie, trzeba żonę wziąć na kawał. „A za co pójdę do Hawełki?“ — zapytuję. Żona się namyśla przez chwilę, a potem wtyka mi w rękę koronę, jedną koronę. Dziękuję i czempręchy wychodzę. A nuż mnie żona zawróci?

Muszę rękopis posłać do drukarni, więc kończę te wielkotygodniowe wynurzenia, życząc tylko Czytelnikom Wesołych Świąt. Czasy są bardzo ciężkie, ale nasze, pozornie słabe barki nosiły już nie takie ciężary. A więc pomyślnego „Alleluja!“

h. j—e.

Konkurs piękności.

(Do artykułu na str. 13).

Bez wypowiedzenia i bez not dyplomatycznych wywiązała się niedawno między Anglią a Ameryką zawzięta walka, która choć bez rozlewu krwi, toczy się jednak z całą namiętnością i można spodziewać się, że nie prędko jeszcze nastąpi zawarcie pokoju. Szeregi wojujących oddziałów są niezmiernie liczne, należy bowiem do nich cały rodzaj kobiecy w obu krajach. Walki te, które na razie odbywają się tylko na szpaltach dzienników, wywołały same kobiety przez swe współzawodnictwo o tytuł najpiękniejszej. Mniej więcej bowiem przed miesiącem, pewien dziennik amerykański „*Chicago Tribune*“ ogłosił konkurs na piękność i uznał, iż panna Małgorzata Frey jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Ten wyrok konkursu przyjęły za obelgę i uznały za powód do wypowiedzenia wojny kobiety angielskie, które orędownika swego i dowódcę znalazły w lodyńskiem piśmie „*Daily Mirror*“. Dziennik ten zaprzeczył z całą energią możliwości, iżby Amerykanka mogła być najpiękniejszą i rozpisał swój konkurs, na który przesłało piętnaście tysięcy Angielek nadesłało swe fotografie. Jury konkursowe składające się z najwybitniejszych artystów, estetyków i znawców kobiecej piękności, uznało jednomyślnie za najpiękniejszą, uroczą miss X, która w swej wielkiej skromności, co może być tylko zaletą, pragnie zachować swe incognito. W motywach sądu podano także, iż ta wybrana piękność liczy zaledwie ośmnaście wiosen życia, jest przytem cicha, spokojna i gospodarna, czyli ideał na żonę. I na tem winnaby się wojna ta zakończyć, energiczne jednak Amerykanki nie dają za wygrane i przygotowują się do nowej kampanii.

Pogrzeb zamordowanego Namiestnika.

Wśród powszechnego smutku i ogólnej żałoby złożono w rodzinnych grobach w Krzeszowicach na wieczny spoczynek zwłoki zamordowanego w niedzielę namiestnika Galicyi, ś. p. Andrzeja hr. Potockiego. Zarówno we wtorek we Lwowie, jak w środę w Krzeszowicach wzięli w smutnej ceremonii udział nietylko najwyżsi dostojnicy państwa i kraju, nietylko najwybitniejsze osobistości w społeczeństwie, ale i szerokie warstwy ludności kraju, bo przedwczesna, a tak tragiczna śmierć dzielnego namiestnika cały kraj żałobą okryła.

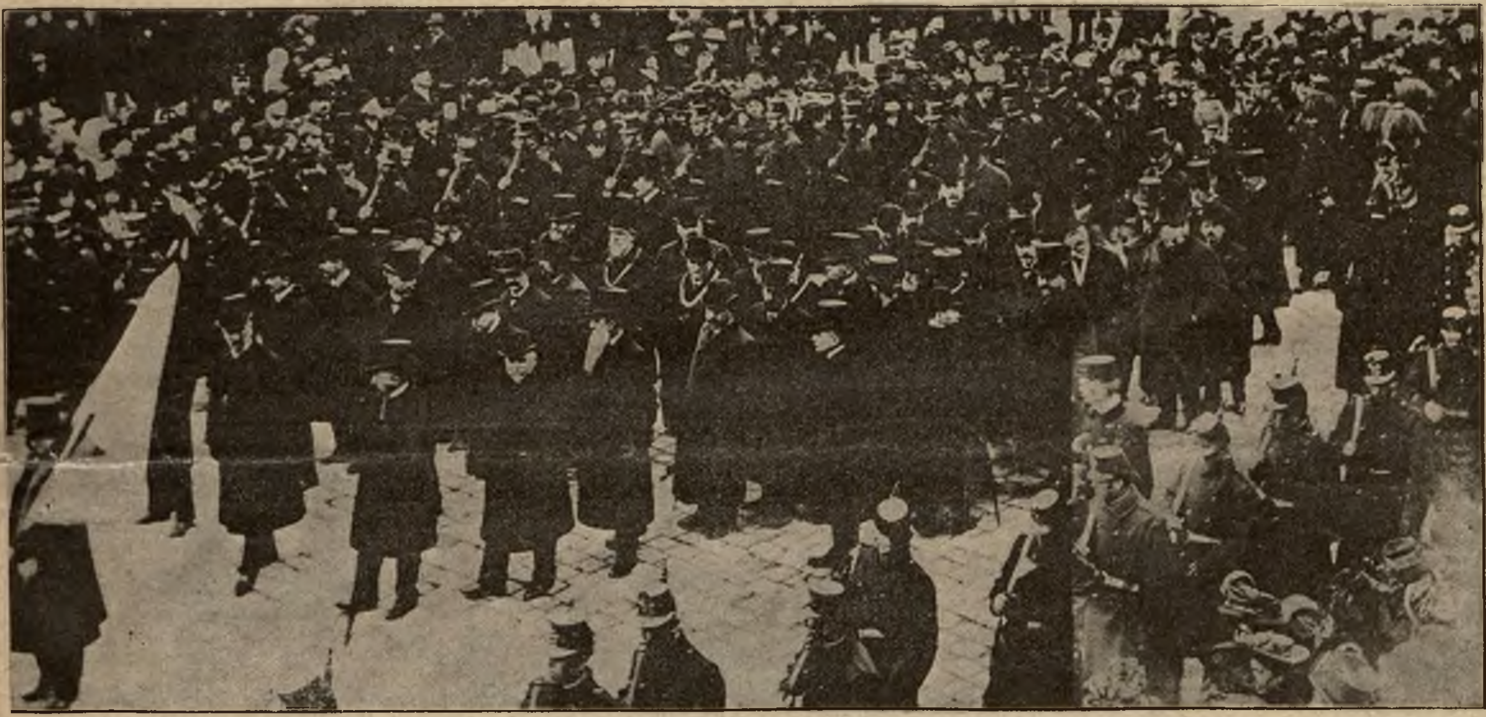
Rozpoczęły się ceremonie pogrzebowe we wtorek przedpołudniem we Lwowie. W stolicy kraju ruch panował w tym dniu nadzwyczajny, bo nie tylko miejscowa ludność wyruszyła na ulice miasta, ale prawdziwe tłumy przybyły tam z rozmaitych stron kraju, by oddać ostatnią posługę zasłużonemu obywatelowi. Największy ścisk panował w okolicy gmachu namiestnictwa. A obok trumny ś. p. namiestnika Potockiego zgromadziła się rodzina, w zastępstwie cesarza hr. Chołoniewski, w zastępstwie następcy tronu hr. Auersperg, ministrowie z prezydentem gabinetu bar. Beckiem na czele, arcybiskupi ks. Bilczewski i Teodorowicz, biskupi łacińskiego i greckiego obrządku, kanonicy kapitulni i td.

Po odprawieniu modłów przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego zdjęto trumnę z katafalku, a urzędnicy dóbr ś. p. hr. Potockiego wzięli ją na ramiona i wynieśli na mary przed pałacem. Rozległ się równocześnie ponury, wstrząsający jęk dzwonów kościelnych, dziwnie przejmujący, dziwnie żałosny.

A po tem stanął przed trumną marszałek kraju Stanisław hr. Badeni i głęboko wzruszony pożegnał zwłoki ś. p. Potockiego imieniem kraju. Scharakteryzowawszy pokrótce postać zamordowanego namiestnika i podniósłszy ogrom straty, przez kraj skutkiem jego śmierci poniesionej, tymi słowy kończył swą podniosłą mowę: I taki to człowiek padł, jak żołnierz na posterunku, padł z ręki skrytobójcy — w chwili, gdyśmy tak bardzo na niego liczyli. Nad grobem osoby ukochanej składają najbliżsi świeże i wonne kwiaty. My, Andrzeju



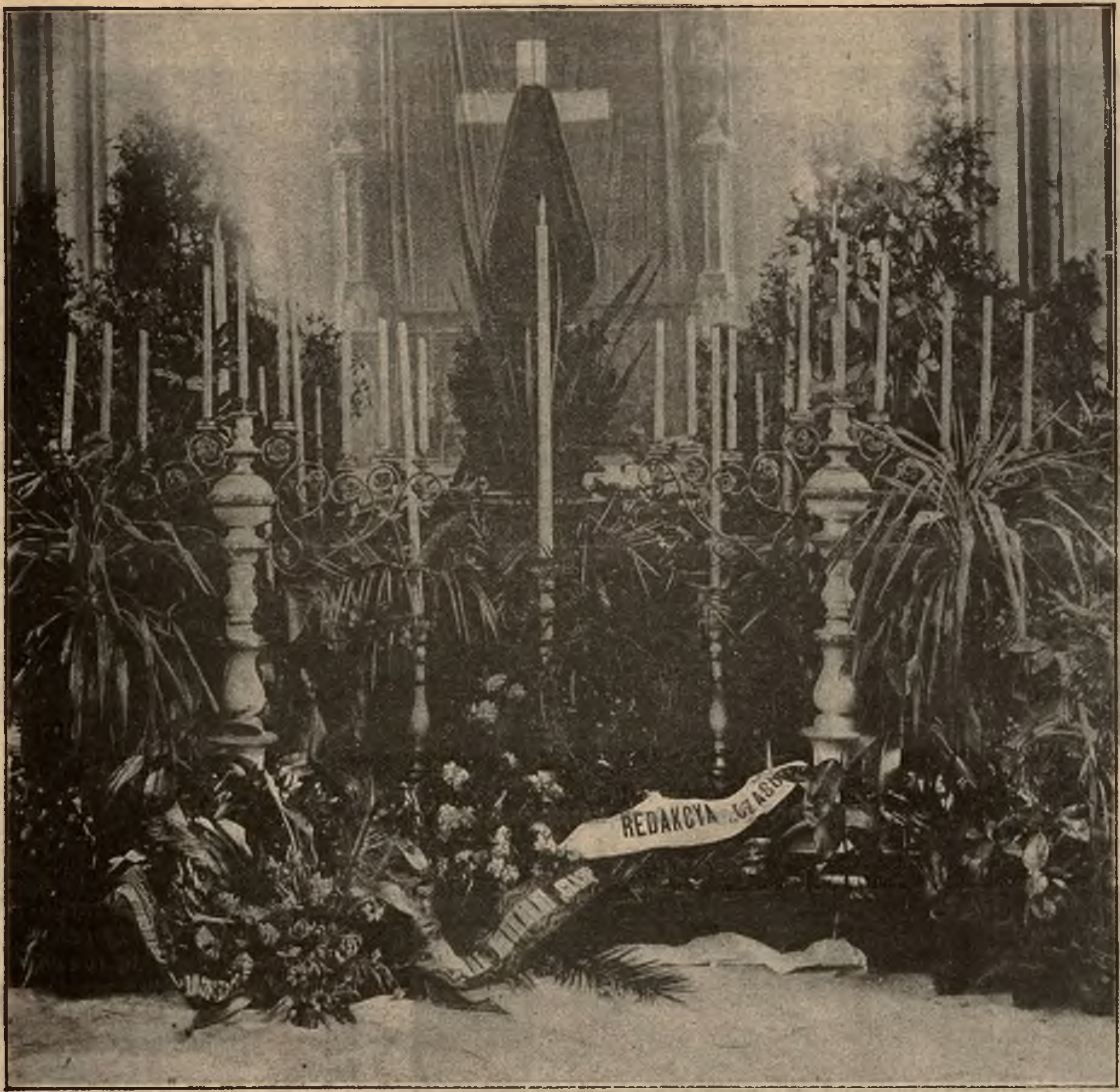
Pałac hr. Potockich w Krzeszowicach.



We Lwowie: Rada miejska i przedstawiciele Izby rękodzielniczej.



We Lwowie: Rodzina ś. p. namiestnika Potockiego, za rydwanem żałobnym zdążającym ku dworcowi.



W Krzeszowicach: Trumna ze zwłokami śp. namiestnika Potockiego na katafalku w miejscowym kościele.

drogi, składamy ci w chwili pożegnania wieniec, uwity w sercach naszych, a zroszony łzami żalu i bolu — wieniec czci i wdzięczności narodu polskiego, wieniec trwały, bo wieczny. A gdy przyjdzie chwila, że na okopach, dziś przez Ciebie opuszczonych i osieroconych, staną Twoi synowie dla obrony naszych praw narodowych, dla codziennej znojnej, a ofiarnej pracy dla dobra kraju i narodu, znajdą wszędzie, gdzie polska brzmi mowa, wierną i żywą pamięć ich ojca, tak jak Ty znalazłeś pamięć ojca i brata. Powiemy im, czem dla nas byłeś i co w Tobie straciliśmy. Ty w nich i przez nich dla kraju i narodu polskiego spoczniesz tylko i wstaniesz.

Ostatnie słowa wypowiedział marszałek Badeni ze łzami w oczach i siłą tłumiąc ogarniające go wzruszenie. Wzruszenie to udzieliło się wszystkim otaczającym mowcę i zwłoki i nikt od łez wstrzymać się nie mógł. A gdy przebrzmiały ostatnie słowa serdecznego pożegnania, rozległy się dźwięki pieśni żałobnej. To „Echo" lwowskie żegnało zmarłego poważnem „*Beati mortui*".

Następnie dźwignęli trumnę z mar posłowie, a w ciągu pogrzebu nieśli ją kolejno urzędnicy namiestnictwa, starostowie z prowincyi, członkowie Rady szkolnej krajowej. I posuwał się wolno, z powagą smutny, ponury orszak żałobny ulicami Lwowa, wśród nieprzejrzanych tłumów publiczności, tworzącej gęste po obu stronach szpalery, naprzód do kościoła OO. Bernardynów, a następnie po nabożeństwie na dworzec kolejowy.

Pociągiem osobnym przewiezione zostały zwłoki śp. Potockiego wprost do Krzeszowic, gdzie w nocy na środę złożono je na katafalku w kościele miejscowym. Równocześnie przybyła do Krzeszowic osierocona rodzina. Dygnitarze zaś, którzy po odprowadzeniu zwłok na dworzec lwowski, podążyli za niemi, aby uczestniczyć w pogrzebie w Krzeszowicach, zatrzymali się przez noc w Krakowie.

Od wczesnego ranka w środę poczęły zdążać pociągami zwyczajnymi i nadzwyczajnymi tłumy



W Krzeszowicach: Arcyksiążę Karol Stefan (X).



W Krzeszowicach: Prezydent ministrów bar. Beck (1); minister skarbu Korytowski. (2)



W Krzeszowicach: Zastępca cesarza hr. Chołoniewski (1) i hr. Ksawery Branicki (2).



W Krzeszowicach: Minister spraw wewnętrznych dr. Bienerth (X).



W Krzeszowicach: Powitanie przybyłych na pogrzeb dostojników.

prawdziwe publiczności do Krzeszowic. Arcyksiążę Karol Stefan z Żywca, hr. Chołoniewski imieniem cesarza, prezydent ministrów bar. Beck, ministrowie: Korytowski, Bienerth i Abrahamowicz, cała falanga wysokich dygnitarzy ministeryalnych, deputacye kilku namiestnictw, urzędnicy wszelkich władz rządowych — wszystko w paradnych mundurach, a dalej dostojnicy kościelni, posłowie do Rady państwa i na sejm krajowy, przedstawiciele uniwersytetów polskich, władz autonomicznych, wśród tych deputacya lwowskiej rady miejskiej w wspaniałych strojach narodowych, następnie delegaci stowarzyszeń i korporacyj, między innemi towarzystwo dziennikarzy polskich, oraz nieprzejrzane rzesze osób prywatnych, wszyscy przejęci jedną myślą, wszyscy pod wstrząsającem wrażeniem niepowetowanej straty, jaka przez przedwczesną śmierć wielkiego obywatela kraj nasz dotknęła.

Przybywające kolejno tłumy gromadziły się w kościele oraz na obszernym placu wokoło niego. Przed ołtarzem głównym odprawioną została uroczysta msza żałobna oraz egzekwie, poczem trumnę ze zwłokami wyniesiono do krypty i tam złożono na wieczny spoczynek. Wstrząsającą była chwila, gdy pod koniec już nabożeństwa przyprowadzono do kościoła najstarszego syna, 11-letniego synka śp. namiestnika, spadkobiercę majoratu krzeszowickiego. Pod opieką guwernera przybył on w ostatniej chwili osobnym pociągiem z Anglii, gdzie przebywał celem kształcenia się.



W Krzeszowicach: Trumna ze zwłokami śp. Namiestnika obok krypty.



W Krzeszowicach: Grono dostojników w pochodzie z kościoła do krypty.

Bolesne straty.

(Do illustracyi na str. 10 i 13).

Społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim dotknięte zostało w ostatnich dniach ciężkiemi i bolesnemi stratami. Zmarli tam niemal równocześnie trzej wielce zasłużeni mężowie, trzej koryfeusze i wybitne postacie, Jan Tadeusz ks. Lubomirski, Ludwik Górski i Mieczysław ks. Woroniecki.

Najstarszy wiekiem był wśród nich śp. Ludwik Górski. Obywatel wielkiej miary, wierny syn Kościoła i Narodu, zasłużony przyjaciel ludzkości, pełen miłości i oddania się.

Śp. Górski, nie szczędzący nigdy ofiar materyalnych, w zdaniu swojem niezależny, szczery i otwarty, był powszechnie ceniony nietylko przez całe społeczeństwo ale i przez rządców kraju. Dużo też mógł dzięki temu zrobić dobrego dla kraju.

Niemniej bolesną dla społeczeństwa stratą jest śmierć Jana Tadeusza ks. Lubomirskiego. Senior i wieloletni przewodnik oraz opiekun interesów finansowych obywatelstwa warszawskiego, jeden z najszlachetniejszych patrycyuszów Warszawy, uczony pisarz, myśliciel, ekonomista, działacz społeczny, cichy filantrop a nadewszystko wierny i godny syn Ojczyzny, nie w słowie, lecz w czynie, zmarł w 82 roku życia, spędzonego wśród pełnej ofiarności pracy publicznej i społecznej. Z dziedzictwa i tradycyi ziemianin, żył jednak przeważnie w Warszawie, która była głównym terenem jego działalności. Pracował głównie na polu naukowem, a rezultatem tego cały szereg dzieł niepospolitych, powszechnie cenionych, z zakresu historyi i ekonomii.

Zasługi Jana Tadeusza księcia Lubomirskiego na polu filantropijnem a zwłaszcza naukowem, uczciło w 80 rocznicę jego urodzin całe społeczeństwo i krakowska Akademia umiejętności, mianując go członkiem dożywotnim. A skon śp. ks. Lubomirskiego wywołał w całej Warszawie niekłamany i powszechny żal.

Trzeci ze zmarłych koryfeuszów społeczeństwa, to śp. Mieczysław ks. Woroniecki, obywatel ziemski, syn ks. Adama, marszałka szlachty lubelskiej. Urodzony r. 1848, po ukończeniu studyów rolniczych, osiadł w swoim majątku Kanie w gub. lubelskiej. Wybrany r. 1880 radcą dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, następnie radcą dyrekcyi głównej, a wreszcie radcą komitetu tego towarzystwa, pracą i działalnością tą zyskał zaufanie szerokich kół obywatelstwa. Jako szczery miłośnik muzyki, był śp. ks. Woroniecki przez kilka lat prezesem „Lutni“ warszawskiej.

* * *

Cześć ich pamięci!

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

6 Ciąg dalszy.

— Pani sama utrudniła wyszukanie mordercy. Dawna pani pokojówka niezawodnie go widziała. Dlaczegóż pani pozwoliła jej odejść?

— Czyż mogłam przewidzieć? Gdybym była wiedziała, nie byłabym jej z domu wypuściła.

Marya mówiła spokojnie, stanowczo, ale komisarz nie zachwiał się w powziętem przekonaniu, że ona zna mordercę, że go ochronić pragnie, że dawna służąca go widziała i dlatego ją usunięto.

— Nie wątpię wcale. Rzeczywiście, żeby jej pani nie puściła. Zadałem sobie trudu, aby ją wyszukać i to mi się udało.

— Znalazłeś ją pan? Zofię Strobel? — zawołała Marya takim głosem, że można się było domyśleć w nim przestrachu. Twarz Maryi zbladła na chwilę i oko błysnęło niepokojem. Haller zaczął tryumfować w duszy i mimowoli uśmiechnął się lekko z zadowolenia. Ale Marya odzyskała dawny, posągowy spokój.

— Bardzo dobrze; więc teraz będzie panu już łatwiej wyszukać zbrodniarza.

— Dziewczyna nie mogła dać żadnych wyjaśnień.

— Dlaczego? — zapytała z największem zdziwieniem.

Haller uznał, że to zdziwienie nie było sztuczne, udane. To go zbiło z tropu. Widzi, że Marya nic nie wie o śmierci Zofii.

— Zastałem ją w łóżku nieżywą.

— Święty Boże! Co się stało? — zawołała z przerażeniem.

— Została otruta.

— Otruta? przez kogo? jak? za co?

— Nie wiem. Może pani mogłaby się domyśleć. Wszakże miała pani sposobność poznać jej stosunki, gdy tu w służbie przebywała.

— Ja? Ależ nie zwykłam wdzierać się w tajemnice mej służby. Może to samobójstwo?

— Nie pani. Na kwadrans przedemną był u niej jakiś pan, a skoro tylko wyszedł, Zofia nie żyła.

— Jaki pan? kto? jaki?

— Zapewne morderca Sandtnera.

— Pocóżby popełniał drugą zbrodnię?

— Z obawy, aby go Zofia nie wykryła.

— To straszne! to wprost potworne.

Taka była szczerość w głosie Maryi, takie prawdziwe oburzenie, iż Haller, zbity z tropu, zachwiał się w przekonaniu, z którem tu przybył. Pożegnał się uprzejmie, przeprosił za sprawiony niepokój i wyszedł.

Marya odetchnęła.

— Boże! Boże! co on uczynił! — szepnęła do siebie i natychmiast zabrała się do pisania zaczętego listu. Pisała prędko, gorączkowo, ręką drżącą, a długo, wiele, list dwuarkuszowy. Włożyła w kowertę, wysiliła się na wyraźny, czytelny adres, ubrała się i wyszła, zabrawszy list z sobą.

Ani marzyła o tem, że skoro tylko stanie przed bramą domu, w ślad za nią pójdzie jakiś nieznajomy i nie spuści jej z oka.

Tak było. Marya zatrzymała się w ulicy, przed skrzynką pocztową, aby list do niej wrzucić, lecz w tej chwili ktoś potrącił ją silnie, tak że list wypadł jej z ręki. Za nim się po niego schyliła, nieznajomy podniósł go prędko, oddał i najuprzejmiej przeprosił za nieuwagę i niezgrabność. Marya wrzuciła list do skrzynki i wróciła do domu, nie przeczuwając, że ów nieznajomy, podnosząc list, przeczytał prędko adres. Był to ajent policyjny, który miał polecenie śledzić Maryę na każdym kroku.

IX.

W jednem z miejscowych zdrojowisk alpejskich siedział Fryderyk Merk na ławce przy deptaku i czytał, ale książka nie bardzo go zajmowała, skoro ją odłożył niedbale i spojrzał przed siebie zamyślony. O czemże myślał? Oczywiście o Maryi Sandtner, o śmierci Roberta, o jego podstępie, o swej miłości. Na chwilę spojrzał na deptak i zobaczył na przeciwległej ławce jakiegoś oryginała, który od południa wciąż za nim chodzi, wciąż mu się przypatruje. Czego on chce? Może to jaki dawny znajomy, co nie śmie się wprost przypomnieć?

Fryderyk wstał i poszedł ku lasowi, posłuchać jego szumu, krzepić się jego wonią. Nieznajomy poszedł za nim. To już zniecierpliwiło Fryderyka, więc zwrócił się ku hotelowi. Właśnie pora, w której przynoszą wieczorną pocztę. Gdy wszedł do hotelu i zatrzymał się u portyera, zjawił się i nieznajomy.

— Jest co dla mnie? — zapytał Fryderyk.

— List z Wiednia — rzekł portyer i wręczył list niezwykłej grubości.

Fryderyk poznał pismo Maryi. Ucieszył się i rozpiąwszy żakiet, włożył list do kieszeni na piersi.

Przy rozpięciu żakieta odsłoniła się popielata, wykwintna kamizelka, z guzikami czarnymi, w kształcie pięcioboku. Nieznajomy spojrzał na nią ciekawie, nawet chciwie i zobaczył, iż jednego guzika u kamizelki brakuje.

Fryderyk, ucieszony listem, zapomniał o natrętnym nieznajomym i pospieszył do swego pokoju, a nieznajomy zapytał portyera:

— Pod którym numerem mieszka pan Fryderyk Merk?

— Pod ośmnastym.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział nieznajomy i poszedł na piętro, pod numer ośmnasty.

Był to komisarz Haller. Gdy mu ajent, śledzący Maryę, podał adres listu, przybył natychmiast i śledził Fryderyka.

Wszedł do pokoju nagle, nie zapukawszy, aby Fryderyka przerazić. Zdawało mu się, że taki manewr będzie bardzo przydatny. Zastał go przy piecu, palącego jakiś papier.

— Czego pan sobie życzy? — zawołał Fryderyk, spostrzegłszy nieznajomego, co się ośmielił wejść bez zapytania. Zapewne jakaś pomyłka sprowadza pana do mnie.

— Zdaje mi się, że trafiłem dobrze — odpowiedział Haller spokojnie, z uśmiechem. Wszakże to ośmnasty numer pokoju.

— Tak panie, więc cóż dalej?

— A mieszka w nim pan Fryderyk Merk.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

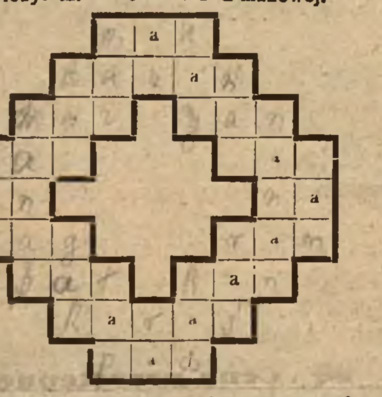
Szarada.

Ułożył Stefan Spunda Skała.

Trzecia z pierwszą jestto uczta,
Choć nie zbyt wesoła,
Druga z czwartą jest w Syberyi,
Każdy zgadnąć zdoła.
Całość w reszcie, to kraina
Z biblii wszystkim znana,
Więc pomyśleć — a szarada
Będzie rozwiązana.

Łamigłówka do wypełnienia.

Ułożył M. Czeczótka z Limanowej.



Środek pozostaje wolny. Dziewięć danych rzędów uzupełnić do wstawionych już na swoie miejsce liter »a«, ażeby wyszły słowa oznaczające: 1. Roślinę kwitnąca czerwono. 2. Miasto w Rosyi. 3. Imię męskie. 4. Tytuł powieści Rodziewiczównej. 5. Imię żeńskie. 6. Miejscowość sławną zwycięstwem Napoleona w roku 1809. 7. Kraj nad morzem Czarnem. 8. Rybę. 9. Rzekę we Włoszech.

Zagadka.

Niżej podane wyrazy tak uporządkować, by drugie litery tych wyrazów czytane z góry na dół dały nazwisko najsławniejszego powieściopisarza polskiego, zaś czwarte litery tych wyrazów, czytane z dołu do góry dały tytuł jego utworu.

Odnośne wyrazy: Debiut, feudalizm, echo, bilet, fidży, gimnazyum, akcyza, inicyały, astma, świat, szopa.

Jako nagrodę za rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza Redakcya dramat St. Wyspiańskiego p. t. »Lelewel«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 14.

Szarada.

Topola.

Logogryf.

Jaka praca taka płaca.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Małaczyński Pikułowice, Z. Żubrowa Borysław, F. Niepokój Krosno, Z. Polakiewiczowa Łomna, Z. K. Warszawa, K. Scholz Golcowa, A. Boczoń Bóbrka, Kosińska Brzesko, H. Zielińska Mianajów, K. Jurkiewicz Gwozdziec, Z. Turko Kraków, J. Bazylewicz Jaktorów, I. Wielgus Wadowice. B. Moszkowska Kielce, M. Arbesbemer Lwów, Podobińscy Rawa, H. Chodkiewiczowa Warszawa, J. Krukowicz Kołomyja, B. Mieczkowski Kraków, A. Lewandowska Stryj, J. Badura Rożdzień, S. Kopffowa Tarnów, A. Potter Stanisławów, K. Michalczewska Złoczów, M. Opolska Czarny Dunajec, I. Garbień Stryj, L. Złochowski Zaleszczyki, K. Fuchs Czeremchów, Z. Gaudnik Stary Sącz, E. Höhr Warszawa, Leon Garfunkel Kraków, M. Stachowicz Kraków. G. Wetscherek Brzesko. W. Spirydowicz Stara Sól, A. Sołtys Herbutów, W. Tuchalski Horodenka, J. Tobola Biała, A. Kudła Tapin, J. Baczyński Ropienka, W. Gasperski Skierniewice, J. Januszewski Podgórze, E. Nowak Stary Sącz, J. Michalska Jasło, W. Samborski Kraków, Ks. E. Siczyński Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Leon Garfunkel z Krakowa, prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Konkurs na broszurę o Juliuszu Słowackim. Zarząd Koła VI. T. S. L. im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, pragnąc godnie święcić stuletnią rocznicę urodzin wieszcza przez szerzenie znajomości jego życia i twórczości wśród szerokich sfer społeczeństwa, do których dotychczas kult Słowackiego nie dotarł, postanowił wydać w roku jubileuszowym 1909 odpowiednią publikacyę. W tym celu ogłasza konkurs na napisanie broszury, (obejmującej 3—4 arkusze druku w 8 ce) zwięzły, jasno i jak najpopularniej przedstawiony życiorys oraz całokształt poetyckiej twórczości, illustrowanej odpowiednio dobranymi wyjątkami z dzieł poety. Za najlepszą pracę, odpowiadającą wyżej określonym warunkom, Zarząd Koła ustanawia nagrodę w kwocie 150 koron, zastrzegając sobie wydanie drukiem uwieńczonej pracy nakładem własnym, (za co jednak otrzyma osobne wynagrodzenie po 40 kor. od arkusza druku). Rękopisy, zaopatrzone osobnem godłem oraz dołączonemi w osobnej kopercie, nazwiskiem i dokładnym adresem autora, uprasza się nadsyłać do Zarządu Koła VI. T. S. L. im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, ul. Floryańska L. 15. (na ręce p. Antoniego Januszewskiego. Termin konkursu upływa z dniem 1 lutego 1909 r.

Rozstrzygnięcie konkursu na broszurę przeciwalkoholową, ogłoszonego przez Koło VI. T. S. L. im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Na konkurs w terminie do dnia 31 grudnia 1907 nadeszło 8 prac. Sąd konkursowy, w skład którego weszli: pp.: Dr Zofia Daszyńska-Golińska, Dr. Filip Eisenberg i Szczęsny Turowski, jednocześnie polecił do nagrody pracę, zatytułowaną »Czas życia krótki, Kropnijmy wódki«, zaopatrzoną godłem: »Jak ma pijany trafić do Królestwa niebieskiego, kiedy do własnego domu trafić nie może«; pracę zaś p. t.: »Wróg rodu ludzkiego«, pod godłem: »Przyszłość nasza« zalecił do odznaczenia zaszczytną wzmianką. Zarząd Koła VI T. S. L. im. Juliusza Słowackiego w Krakowie na podstawie protokołu Sądu konkursowego przyznał nagrodę kor. 100 pracy p. t. »Czas życia krótki, Kropnijmy wódki«, której autorem jest dr. Antoni Rząd, lekarz i poseł do Dumy państwa w Petersburgu; pracę zaś p. t. »Wróg rodu ludzkiego«, której autorem jest p. Witold Fusek, słuchacz filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, wyróżnił zaszczytną wzmianką.

Dla dobra ludzkości wynalazł aptekarz **A. Thierry** swój **balsam i maść centyfoliową**, o których światowej sławie świadczą niezliczone podziękowania. — Dwa te, światowo sławne, o swej leczniczej skuteczności nieprześcignione środki, nie podlegające nigdy zepsuciu, są prawie zawsze pomocne i skuteczne. Dwa te światowo znane środki domowe powinno się mieć zawsze w domu na składzie, a odrzucać wszelkie naśladownictwa, jako bezwartościowe i karze podlegające. **Balsam Thierry'ego** 12 małych, lub 6 podwójnych flaszeczek K. 5·—, a **Thierry'ego maść centyfoliowa** 2 słoiki K 3·60 są do sprowadzenia z **apteki pod Aniołem stróżem A. Thierry'ego w Pregrada koło Rohitsch.**

